



388

m.w.



A.

POEZYJE WINCENTEGO POLA.

NOWE POPRAWNE I POWIĘKSZONE
WYDANIE.

775
NAKŁADEM AUTORA.

~~A 150~~
~~235~~ 35
TOM II.

W WIELKIM

W Drukarni Uniwersyteckiej L. K. Zamarskiego.

1857.



POEZYJE.



Mohort. CZYTELNIĄ KSIĄŻEK

WYDANIE NOWE W CZTERECH TOMACH.

MOHORT

RAPSOD RYCERSKI

Z PODANIA.

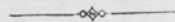
„Cnota sławą się płaci!” rzekł Jan z
Czarnolasu:
Więc co było pocziwe za dawnego czasu,
Niech i dzisiaj to jeszcze jako basło świeci,
Dla druny od serca i dla ludzkich dzieci!

WYDANIE TRZECIE.

MOHOUT
KAPŁAN RYCEŃSKI
N. PODAŁA

Wszystko, co jest w tym świecie,
jest jak dym, który wstaje z ziemi
i jak cień, który trwa tylko chwilę.
Niechaj więc nasze serca nie są
związane z tym, co przemija,
ale z tym, co trwa na zawsze.

POŚWIĘCENIE.



Q.

EDWARDA TADEUSZA

BIELIŃSKIEGO.

Oto Ci niosę mój kochany Szeffie,
Pieśń o Mohorcie i Księżu Józefie!
Pytasz mnie, widzę, jak do niej przychodzę?
A jużciż tego nie znaleźć na drodze.

Jak kruszec drogi są stare podania,
Co za nim trzeba spuszczać się w głąb ziemi;
I do udziału serce się nie skłania,
Co z dawna tylko rozmawia z zmarłemi.

Bo ta pierś wierna, co podanie chowa,
Taka milcząca, jak deska grobowa,
I z wierzchu zimna i jak lodem ścięta,
A jak relikwiarz dla świata zamknięta ...

Więc jak odważyć tę deskę grobową?
I czym wywołać zmarłe w piersiach słowo?
Czy to się nada, co się z grobu rodzi?
I czy relikwiarz otworzyć się godzi?

Długo się o to pytałem niepewny,
I długom milcząc na tych grobach siedział,
Nad zbiegłym czasem, bolejący, rzewny,
Aż mi świat w końcu na to odpowiedział.

Jak zapowiednia lepszych przyszłych czasów,
Nowe zasady poczęły wychodzić,
Co miały ludzkość na nowo odrodzić,
I świat wybawić z śmiertelnych zapasów.

Na takie hasło prosił każdy w progi
Posłów zbawienia, jako niebios gości;
W imię nadziei i świata przyszłości
Każdy ustąpił nowym ludziom drogi.

I wystąpili na świat nowi ludzie,
I świat pracował w bardzo wielkim trudzie;
Aż padł nareszcie zlany krwawym potem,
Bo co mu święte to zbryzgano błotem.

I wystąpili na świat ludzie nowi,
Z owym pogaństwem co przed krzyżem padło;
I zarażali wściekłą zjadłą,
I nowy ołtarz wzniesli bałwanowi.

I świat się od nich odwrócił z boleścią,
I łaknął znowu za niebieską wieścią,
I szukał Boga — a lepsi i szczerzy
Naprzód się w żalu uderzyli w piersi.

I jako karę przyjęli tę chłostę,
Że mogli zwątpić i w święte i w proste,
Że zapomnieli na to co się działo,
Że Bóg opatrzone rządy świata trzyma,
Że odkąd Słowo tu się Ciałem stało,
Już dla ludzkości nową prawdy niema!
Więc za kotwicę wziął świat znowu wiarę,
I znowu dzierży co nazwane stare!
Stare rozumem i stare sumieniem,
A wiecznie młode duchem i natchnieniem,
I woli dobrą i świata miłości,
Jako duch z ducha — jako kościół z kości!

O łatwiej było zdeptać to co dzielne,
Niż sprostać temu — i łatwiej to zmienić,
Czego człęk w grzéchach nie zdoła ocenić,
Niżli ogarnąć, co jest nieśmiertelne.

A więc i u nas puszczone na nicę
Łaski kościoła, Narodu skarbnice,
I tylko prawie miłosierdzie Boże
Dało nam ujrzyć już zachodnie zorze
Wiélkiej przeszłości, tlejącej w iskiecie,
I na obronę dało to co dawa
Upadłej sprawie — „kochające serce,
Aby pocziwa nie ginęła sława,
Aby nie było świata w poniewierce,
Co obok Świętych Pańskich w dziejach stawa.
Wielka przed Bogiem miłości zasługa
Co się trzymała — krzyża — szabli — pług
Tak przeświecona duchem Bożym wiernie,
Że godna przyjąć w siebie nawet ciernie.
W téj to zachodniej już Narodu zorzy,
Na fali dziejów obraz się kołysze,
Jeden z tysiąca — a zawsze Mąż Boży:
Więc żywot jego na grobowcu piszę...

„W kim duch pogański lub dusza bezbożna,
Kto nie wie co to rycérsko i rolno,

Temu szlachcica zabić nawet można;
Ale drwić sobie z szlachcica nie wolno!“

Tak to mi mawiał niegdyś Pan Ksawery;
I wiernie chowam czasy w upominku,
Gdyśmy po łowach nie raz przy kominku
Noce trawili w pogadance szczerzej.
Było to w owym Kalenickim dworze —
Mgły się jesienne wieszały po borze;
Czasem jak całun przerwały się chmury,
I znowu widne po miesiącu góry.

Było to w nocy i już dobrze późno —
Z wieczora czułem, że pod koniem mięknie;
Lecz się z północy wyjaśniło pięknie,
I jasno było chociaż było mroźno.

Chociaż już zapiał kur i załopotał,
Jeszcze w kominie płonął buczyna,
I wierny Klejnot drzymał u komina,
I ów jaz szumiał i młynek turkotał;
A z tym to szumem i turkotem razem
Biegły godziny nieujętym zdrojem,
I myśli biegły przepuszczane płazem —
A Pan Ksawery siedział w krześle swoim,

W końcu mi rzeze — „Na żywego Boga!
 Co się to stało u nas czasy temi!
 Wszakci do szczęścia była znana droga,
 Którą szedł Naród wiekami całemi.
 Wszak po tej ziemi widne były stopy
 Mężów rycerskich, a i Świętych Pańskich:
 A dzisiaj wiara potraciła tropy,
 I świat się upił w praktykach pogańskich!
 Czego tu trzeba? po co szukać dalej?
 Wszakżem sam z młodu duchem takim pałał,
 I żył tém życiem i kochał i działał,
 I znałem ludzi kutech jak ze stali.
 A kiedy za mnie bywali takimi,
 To już ciż musiał być tam ktoś przed nimi,
 Co po Bożemu w ojczyźnie się porał,
 I rolę ojców tak pod nich zaorał,
 A potem posiał ją takim posiewem,
 Że owoc świata szlachetny zrodziła:
 Znana w kościele męczenników krzewem,
 A w dziejach świata z bohaterów siła.
 Czego tu trzeba? po co szukać dalej?
 Kiedym poczyniał mój zawód wojskowy,
 Żył tam na krésach mąż dzielny, surowy,
 I z jednej sztuki kuty jak ze stali.
 Z Litwy był rodem, choć na krésach służył;
 A choć za Szwedów już tej krwi nie skąpił,
 Po moje czasy znaku nie odstąpił.
 A przecież nigdy w służbie się nie znużył.“

„Ty, co to lubisz przeszłe dzieje badać,
 — Rzekł Pan Ksawery po niejakić chwili —
 Twoję to młodość wzmacni i zasili.“ —
 I o Mohorcie począł opowiadać.

A jak się rozgrzał i szczerze rozgadał,
 To oł niechcenia sam się rapsod składał;
 I gdym się wpatrzył w ową przeszłość ciemną,
 Do razu posąg stał niby przedemną.

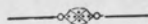
Ktoby to myślał, ktoby się spodziewał,
 Że gdzieś za światem w bodziakach Czechryńskich,
 Że gdzieś na krésach niegdyś Ukraińskich
 Taki świat dzielny i uroczy bywał?

Od owój nocy ubiegło lat wiele,
 I ów dwór górski pusto stoi sobie,
 I niema łowów, bo i przyjaciela
 W czarnym żupanie złożyliśmy w grobie.
 Ostatni jeszcze to Pan Miłościwy,
 Ostatni jeszcze w Sanocekiem myśliwy,
 I pełen ducha i pełen dzielności,
 Jako krew ze krwi i jako kość z kości.
 Więc na cześć Jemu, na cześć Mohortowi,
 Niechaj ta karta coś i dalszym powie.

Cóż o nich mówić? kto z ludzi nie błądził?
 Lecz Pan Bóg będzie ich łaskawie sądził:
 Bo w domu ojców jak starszyzna stali,
 I to czynili co z wyroku padło;
 Co Bóg powierzył, to na nich nie siadło,
 Bo miłość swoją następcom podali.

Ztąd w téj zachodniej już Narodu zorzy,
 Na fali dziejów obraz się kołysze,
 Jeden z tysiąca — a zawsze Mąż Boży:
 Więc żywot jego na grobowcu piszę.

WIECZORY KALENICKIE.



I.

Nie raz Ci pono już mówiłem o tém,
Z jakim ja żalem te strony porzucił;
Jak mnie dopiero step znowu ocucił,
Jak o bogdance zapomniałem potem,
Kiedy mnie owiał stepu oddech zdrowy,
Gdy mnie ożywił duch służby wojskowej
Na Ukrainie.

O mój wielki Boże!
kiedyż to mnie koń nie nosił światem,
I czym ja myślał, że się skończy na tém,
Że w grobie ojców jeszcze głowę złożę?
Innem ja życie roił sobie z młodu,
Gdy wiatr dniewowy owiał mnie od wschodu:
Wstępując w służbę jam sobie układał,
Że będę w bitwach i na koniu starzał,



W namiocie sypiał, przy ognisku jadał,
 Że orzeł będzie nad nami się zwał;
 Że całe życie na stepach mi spłynie,
 Że krzywa szabla wśród boju zasłynie.
 I jadąc w pole z sokołem na pięści,
 Ja byłem pewien że Bóg nam poszczęści,
 A kiedym ujrzał mogiłę z daleka,
 Tom roił sobie: że jak legnę w boju,
 To takie łożo na stepach mnie czeka,
 Gdzie niby Hetman wypoczne po znoju.

Nie darmo w stepy ukraińskie z dawna
 Młódź się garnęła ochocza do boju:
 Boć po Hetmanach kraina to sławna,
 A woda bywa najczystsza u źródła,
 Ojczyzna mogiła, to ziemia rycerzy,
 Kto w Boga wierzy, ten i w szablę wierzy.

Kiedy mnie ojciec z Dubiecka wyprawiał
 W drogę na kręsy, nie długo zabawiał:

„Idź w dzikie pola, kędy życie chrobre
 I exercitium dla młodego dobre,
 Zawdy na koniu i zawdy w obozie,
 W służbie, w posłuchu i w hetmańskiej grozie.“

Takie to, takie brała namaszczenie
 Rzeczpospolita, na domowym progu,
 Było rycerstwo, bo było sumienie,
 I cześć dla starszych i ufanie w Bogu.

Z ciężkiem ja sercem pojeżdżałem z razu,
 I dzisiaj jeszcze zapomnieć nie mogę
 I ojca mego, i matki obrazu,
 Boć też uczciwie wyprawili w drogę!

Cztery wierzchowe, trzy konie do bryki,
 A bryka długa i łubem wyszyta,
 I jak spiżarnia Pani Matki syta,
 Chłopcy gotowe na trud i wybryki,
 Dobrze okryte, i jak ja niegłodne,
 Zaprząg był nowy — rzędy były sprawne,
 Dał też Jegomość i trzy szable sławne,
 I prócz szturmaka, dwie strzelby dowodne,
 Dwie smycze chartów, i sygnet herbowy,
 I trzos z tynfami, i kaftan łosiowy,
 I rzekł poważnie gdy to wszystko dawał,
 Gdym stopy jego ścisnął najgoręcej:
 „W pocziwój sprawie będziesz Wasze stawał
 O tém co daję — masz się Waśc sposobić,
 I w łasce Bożej fortuny dorobić,
 I dobrej sławy — bo nie dam nie więcej!...“

A matka znowu dała pokryjomu,
 Jeszcze dni kilka przed wyjazdem z domu,
 Dała, jak mówią, na dziś i na jutro:
 Więc drogą szpinkę, strojne czaple pióro,
 Rysia na kołpak — niedźwiedzia na futro;
 A bryka była i płótnem i skórą
 Dobrze łądowna — że zapasu stało
 Jeszcze w lat parę dla mnie i czeladzi;
 A nadto jeszcze (co nigdy nie wadzi)
 I sto czerwonych złotych się dostało;
 A oprócz tego na mundur osobno,
 Aby nie tykać woreczka ze złotem:
 Więc się w świat można było puścić o tém,
 Choć w sercu było długo mi żałobno.

Po drodze było jeszcze dość scen rzewnych:
 Bo ojciec kazał objechać mi krewnych,
 Błogosławieństwo na drogę uprosić,
 I zlecić siebie łasce i pamięci;
 Więc nie raz przyszło jeszcze oczy zrosić:
 Bo cóż to serca i co dobrych chęci,
 Miał ten świat polski dla młodego człeka,
 Każdy obdarzył — bo podróż daleka,
 I błogosławił — bo kolój niepewna,
 I żegnał chlebem na domowym progu,
 I dał przestrożę, i polecił Bogu,
 Że dzisiaj o tém pamięć jeszcze rzewna.

• Ledwo we Lwowie mogłem się ukoić,
 Gdzieś sobie sprawił cały mundur nowy,
 Aby przystojnie mógł się już wystroić,
 I już na krésach stanął jak wojskowy.
 Ale od Lwowa stał już świat otwarty,
 I pojeżdżałem w kraje coraz nowe...
 Na wierzchu bryki trzymał kuchta charty,
 Na jeden popas szły przodem wierzchowe.

Dopóki jeszcze szła droga Podolem,
 Jechałem sobie przez piękne obłogi
 I dniem i nocą, i lasem i polem,
 Jak swoją stroną, nie pytając drogi;
 Lecz gdym się przebrał przez podolskie jary,
 Kiedym się wybił na wielkie równiny,
 Minawszy nieco Konstantynów-Stary,
 Owiał mnie oddech już obcej krainy:
 Bo tam na wschodzie od wioski Bachłaje,
 Już ów Tatarski — „Czarny-Szlak“ nastaje,
 I więją wschodnie wiatry ukraińskie,
 I w trawnych stepach buja sobie oko,
 I pierś oddycha wolno i szeroko:
 Hej! gdzie Rzym? gdzie Krym? gdzie Karczmy
 babińskie?

Wolno jechałem, bo była pogoda,
 I maj na niebie, i w duszy swoboda;

Nie raz mi nocleg przypadł w stepie czystym,
 I głos przepiórki do snu mnie ułożył,
 A kiedym oczy znów w nocy otworzył,
 Tonąła dusza w tém niebie gwiazdzistém:
 I w ów czas czułem na łonie natury,
 Że naszém sercem taka pieśń kołysze,
 Którój Pan Nieba błogosławi z góry,
 Lecz którą w słowach człowiek nie wypisze.

Są piękne chwile i czyste natchnienia
 W życiu człowieka, co lgną do sumienia
 Jak jasne gwiazdy, jak słowa miłości,
 Dopóki jeszcze godzien tych piękności.

Takie to było w stepach me zaranie,
 Od takiej zorzy brałem powitanie,
 I takie głosy Nieba, czy Narodu,
 Niósł wiatr stepowy do duszy od wschodu..
 I tak jechałem coraz dalej, dalej,
 A step przepływał nakszaft morskiej fali.

Ze stepów Bohu, więcej ku wschodowi
 Zwróciłem konie — na stopy dniewowe,
 I pojeżdżałem szlakiem ku Dnieprowi,
 Kędy na krésach wojska narodowe

Od ujścia Rosi począwszy, już stały —
 A gdzie mi tylko mignął futor mały,
 I w każdym siole, i nad każdą rzeką
 Pytałem ludzi, czy jeszcze daleko
 Do brzegów Dniepru? — A czém bliżej było,
 Tém niespokojniej serce moje biło:
 Jakieś uczucie szczęścia i obawy,
 Jakieś pragnienie i czynów i sławy
 Paliło duszę — i z każdym noclegiem
 Jechałem raźniej — jakby nad tym brzegiem
 Raj obiecany gdzieś tam dla mnie leżał,
 Jakbym się lękał, żeby nie odbieżał
 Dniepr swego brzegu! —

I noc zapadała,
 I znowu ranna zorza mi świtała,
 I znów był dzionek i było południe,
 Gdym ujrzał futor i dworek i studnię.

Zjechałem z szlaku chcąc się napić wody,
 W tém wyszedł z dworku człowiek już nie młody,
 A widząc żeśmy zjechali już z drogi,
 Krótkimi słowy zaprosił w swe progi.
 Był to poważny szlachcic i wojskowy,
 Co w kawalerii służył narodowej;
 Właśnie już było nakryto do stołu,
 Więc też i obiad zjedliśmy pospołu.

Świadomy miejsca opisał mi drogę,
I rzekł że w miejscu stanąć jeszcze mogę
Na pierwszej luce, nim słońce zapadnie,
Ale że dobrze pojeżdżać wypadnie.
Więc też nie bawiać uprzejmie żegnałem,
I wzięwszy mundur żwawo pojeżdżałem.
Noc już zapadła od godziny blisko,
Gdym w końcu stanął na luce strudzony,
Gdzie Pan Porucznik miał swe stanowisko,
Któremu listy byłem polecony.

Po drodze nocny rozjazd mnie powitał,
I przeprowadził do samej granicy,
Żołnierz od czaty naprzód mnie wypytał,
Potem samego puścił do strażnicy.

Z wolna wstąpiłem do izby ponurą,
Którą z nad półki kaganek oświecał,
A od tej półki wisiały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał.
Dymek błękitny płonącego włókna
Wązkim się pasem po izbie rozścielił,
W wielkim kominie płomień czasem strzelił,
I zbiegł wężykiem po szybach od okna. —
A izba była pusta jak stodoła,
Prócz kołków w ścianie, pół ławy i stoła
I prócz proporca, nic więcej nie było.

Przetarłem oczy — bom nie wierzył sobie,
I rozumiałem, że mi się przyśniło
Jakieś widziadło, niby w nocnej dobie:
Jak gdyby z grobu powstał Hetman który,
Taki mnie widok ugodził potężny,
Taki mąż siedział przedemną orężny,
Sędziwy, dzielny, groźny i ponury,
Na kozle z drzewa uciesanym siedział
Niby na koniu — a choć sobie drzymał,
Czuwał jak żóraw i o sobie wiedział,
Bo śpiąc — pistolet w prawej ręce trzymał. —
Białe włosy lekko osrębrał mu głowę,
A rysy były tak pięknie-surowe,
Że więcej prawie podobien z daleka
Był do posągu, niżli do człowieka.
Był to Pan Mohort.

A gdy przed nim stałem,
Gdy mu od ojca listy oddać miałem,
Patrząc na niego, dopiero pojałem,
Dla czego ojciec mówił: — „Czołem! Czołem!
I nie zapomnij Waś w gębce języka,
Gdy przyjdzie witać Pana Porucznika!“
Bo był to jeszcze wojownik z pod znaku,
I wielki strażnik hetmańskiego szlaku,
Czujny jak żóraw, całe życie zbrojny,
Jako lew dzielny, jak posąg spokojny.

Długo myślałem, co robić wypada:
 Zbudzić? nie budzić? — trudna była rada;
 Stoję i czekam — kaganiec się mroczy,
 W tém brzęknał pałasz od przeciwniej strony,
 A Pan Porucznik rozwarł zwolna oczy:
 „Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!“
 — Na wieki wieków! — z cicha odpowiada,
 I z kozła swego niby z konia zsiada,
 A potem trochę kagańca poprawił,
 A potem rzucił na mnie wzrok surowy,
 I zmierzył ostro od stóp aż do głowy,
 I pytał krótko — a gdym mu się sprawił,
 Rzekł, wysłuchawszy z uwagą wszystkiego:
 „Jak się dzień robi, to i list wyczytam,
 A teraz syna pana Antoniego
 Jako krew bratnią z pocziwością witam!
 Dziś już za późno, i jestem na służbie,
 Lecz jutro Waści na krésach podružbie:
 Już tu nie jeden pierwsze żołdy czynił,
 Więc po staremu będę gospodynił...”

Poszedł ku półce, kędy stał kaganek,
 Do owych sznurów za zégar służących,
 Policzył węzły na knotkach płonących,
 I rzekł: „Nie zaraz będzie jeszcze ranek!
 Wracaj do koni, boś zdrożony może,
 A jak zatrąbią na poranne zorze,

Czekam tu Waści“ — potem krzyknał — „służba!“
 Starszy towarzysz, człowiek już nie młody
 Wstąpił do izby — „No, przybył nam družba!
 Dacie mu nocleg, a koniom wygodę,
 Rzekł Pan Porucznik, i zlecił nas Bogu,
 I przeprowadził oczyma do progu.

Kiedy oświłem — dopiero ujrzałem
 Żem był w okopie który zamykała
 Brama na piętro otoczona wałem.
 Była to sobie taka twierdza mała
 Nad brzegiem Dniepru — okop był sklepiony,
 W nim stały konie, na bramie strażnicy,
 Nad bramą obraz był Boga-Rodzicy,
 A pod nim napis — „Pod Twoje obrony.“

Ledwom się trochę ogarnął z noclegu,
 I ledwom sprzątnął po sobie me łoże,
 Przybył towarzysz: że czas do szeregu,
 Bo już zatrąbią na poranne zorze.

„Baczność!“ i Mohort stanął przed szeregiem:
 W górze nad bramą był ganeczek mały,
 Z niego się trąby po rosie ozwały,
 I głos ich skonał za dniewowym brzegiem.

Hajnał krakowski odgrali trębacze,
Który od wieków, co zorzy porannój,
Z Maryackiej wieży po nad Polską płacze
Czystemi łzami Przenajświętszej Panny;
A potem mężkie podniosły się głosy,
I pieśń pobożną wysłano w niebiosy.

Jak nie zapomnę nigdy pierwszej bitwy,
Tak nie zapomnę tej pierwszej modlitwy,
Bo cudny urok miał ten śpiew poranny
Polskich rycerzy, do Najświętszej Panny,
Który po wiekach i pobjawiskach
Od pokolenia starój Polski płynął,
I tu dopiero w dniewnych urwiskach,
Na krańcach Polski w Ukrainie ginał!

Po tej modlitwie chórem odśpiewanej
Rozjazdy nocne raporty złożyli,
Potem szła kolej i służby i zmiany,
A chwilą później gdyśmy odstąpili,
Dopiero w ów czas, znów mnie Mohort witał,
I rzekł: że listy od ojca odczytał,
I życzy sobie opatrzyć me konie.

Z nocy stał jeszcze mój tabor na stronie,
Ludzie przy bryce, konie posiadłane,
I do poręcza rzędem powiązane.

„Coś mi Waś dworno! a wyglądasz przecie,
Jakbyś sam jeden mógł jeździć po świecie!“

Potem obejrzał cały tabor w koło,
Konie i ludzi, i z tyłu i z przodu,
I rzekł mi w końcu, pomusnąwszy czoło:
„No — konie dobre! i nie miały głodu!
A co do ludzi, to zobaczym jeszcze.
Waś jedziesz ze mną — lecz na moim koniu,
A rzeczy twoje i ludzi umieszczę
Tu na podzamczu, w bezpiecznym ustroniu,
Lecz swoje konie każ mi rozkuć zaraz,
Bo choć wierzchowe, niebardzo im skoczno;
W znaczek je puścić — niech z drogi wypoczną,
Bo w wojsku konia potrzeba nie na raz.

Pisze mi ojciec, że się rwiesz do świata,
I że krew żwawo po żyłach się sączy,
Więc wypróbujęm tutaj pana brata.
Jest tutaj pole, zobaczym czyś rączy,
Krewkość niedobra — ale krew rzecz święta,
I nie za piecem chowają orłéta!
„Ptaku mój, ptaku pancernego znaku!“
Ot dzisiaj właśnie na kręsy wyruszę;
Pojedziesz ze mną od szlaku do szlaku,
Kędy rycerskie rosły animusze,

Tam się rozpatrzeć trzeba Waści rano,
Bo co jest dzielne, to dla nas nieobce,
Boć i ojcowie mieli krew rumianą,
Jak świadczą w stepie mogiły i kopce!

Kiedy to mówił, zwolna sobie kroczył,
I wstąpił ze mną na okop wspaniały;
A ztąd do razu kraj się rozkrył cały,
Dniepr u przepaści wstęgę swą rozłoczył,
A jak najdalej sięgło tylko oko,
Świat się rozłożył za Dnieprem szeroko,
A na w dłuż rzeki pomiędzy skałami,
Mgła się poranna zwijała kłębami,
I w téjże chwili pierwszy blask promienny
Ocknięte stopy z ukosa zadrasnął,
I świat się budził — ale Dniepr był senny,
I spać się zdawał, jak pod mgłami zasnął...

Ledwom wrażenie w duszy stłumić umiał,
Ah! bo i w duszy było w ów czas rano...
A Mohort zda się, że mnie wyrozumiał,
Bo rzekł: „i oni mieli krew rumianą!“

Trąba z nad bramy dała znak pochodu.
„No weź żywności byś nie doznał głodu,

Bo różnie bywa, a nabij Waśc bronie,
Mnie czas opatrzyć i ludzi i konie!“

Bo trzeba wiedzieć, choć nie było wojny,
Przecież na krésach rzadki dzień spokojny.
Humańskiej rzezi pamięć była świeża,
A bojaźń dżumy trzymała żołnierza
I dniem i nocą na czacie granicznej:
Bo potrzeb wielka, a człek był nieliczny.
A że Porucznik sobie nie folgował,
Więc i podwładnych w służbie nie żałował,
To i o plaster nie było tam trudno,
I trzeba było stawać nieobłudno.

Tam na dwór jakiś Tatary napadli,
Na pograniczu, i cerkiew złupili,
To znów Kozacy tabun nam ukradli,
Czeladź uwiedli, lub wioskę spalili,
Czasem i łotry od multańskiej dziczy
Wtargnęli siłą dostawszy języka,
Czasem też nasi — tak na ochotnika
Ruszyli sobie na odwet ku siczcy.

To też gdy Mohort objeżdżał granicę,
Zawsze wyruszał najmniej we sto koni,

Gotów do boju — i w takiej pogoni,
I tym też razem opuszczał stanicę.

Poczt był prześliczny gdy ruszył po błoni,
Na przodzie jechał na srokatym koniu
Najstarszy trębacz sławny nasz Kafarek,
A za nim siedział na kuli Zégarek.
Tak zwał koguta co go woził z sobą,
Bo był jak sokół na to unoszony,
Aby znać dawał kiedy nocną dobą
Czas zmieniać strażę — jakoż ustrojony
Był czarny kogut w porządnym kapturek:
We dnie na głowie, a nocą na sznurek
Wzięty do nogi, budził obóz cały,
I podług niego czaty się zmieniały.
Tak był łaskawy, że z rąk tylko jadał,
A przy ognisku na ramię nam siadał.

Kafarków srokacz nie dotykał darnia,
A nocą świecił przodem jak latarnia;
Sam zaś Kafarek był myśliwy sławny,
I do sokołów i do chartów sprawny;
Tuż przy nim biegło zawsze chartów kilka,
Z których brał każdy pojedynkiem wilka.

Kiedysmy krésów objeżdżali kraniec
A noc zapadła nas czasem na stepie,

W ów czas rozpalał Kafarek kaganiec,
I nie raz przygrzał Tatarowi w ślęcie,
A lulkę przy nim pozwolił zapalić,
I w dobrej zgodzie z granicy oddalić.

Od ujścia Rosi — aż tam gdzie Siniucha
Na pograniczu już do Bohu wpada,
Szła linija krésów i ziemia tak głucha,
Że tylko czasem pod koniem zagada.

Sześć tam chorągwi pogranicza strzegło,
Daleko było od luki do luki,
I kilka rzędów moglił stepem biegło,
A czort stepowy wyprawiał swe sztuki.

Pan Mohort z dawna miał obyczaj taki,
Że gdy poczt sprawił i wywiódł na szlaki,
Opodał środka sam jechał na boku,
Aby miał ciągle cały poczt na oku,
I gdzie potrzeba, stanął w jednym skoku;
Tutaj poczynął o zorzy poranniej
Śpiewać Godzinki do Najświętszej Panny,
A wszystka wiara powtarzała za nim,
I pieśń płynęła po rosie zaraniem, —
Konie parślały, a jakaś otucha
W górę ku niebu podnosiła ducha.

Głos miał potężny: i czy tam bywało
 Krzyknie przed siebie „A wolno od czoła!“
 Czy na straż tylną w potrzebie zawoła,
 To już wyraźnie człeku się zdawało
 Że w ucho mówił, chociaż się nie silił,
 A na komendę nawet koń nie zmylił.

Z tego też miejsca było najdogodniej,
 Kiedy już w stepach było nieco chłodniej,
 W miejscu upatrzeć zajaca i strzelić,
 Lub się w pochodzie charty rozweselić.
 Jeżeli Kafarek przesłupił na przedzie,
 To już Pan Mohort pewno go dojedzie;
 I zawsze bywał kręsy objeżdżając,
 Lub na pieczyste, lub do barszczu zając.
 A jak Kozacy dostarczali burek,
 Tak lisy w rudkach krésowych lisiurek.
 Pan Mohort w stepach rad zawsze polował,
 I nie jednemu i wilki darował.

Jako nowicyusz, ja na lewém skrzydle
 Jechałem z razu, i koń mi się zrywał:
 Spostrzegł to Mohort — „Jak tam koń w wędzidle?
 Czy Waś na przedzie zawsze tylko bywał?
 Poskocz-no ku mnie!“ A więc w jednym skoku
 Zebrawszy konia, byłem mu u boku.

„Basta!“ zawołał — „Śmiało jeździsz Wasze,
 Jeżeli tak samo zetniesz się w pałasze,
 To nie źle będzie, boś równo osadził,
 Byleś mi konia spokojniej prowadził.
 Jakże się Waści w tych polach podoba?
 Tu już potrzeba z konikiem od żłoba!
 Piérwsze to piérwsze pole na sokole,
 Toć poznać trzeba tę rycerską rolę.
 Kto w boju legnie, narodowi miły,
 Bóg sieje ludzi — człek sypie mogiły....

Kto Boga w sercu, a kord ma przy boku,
 Ten znać powinien, że oko puklerzem,
 Że cała dusza ma być wiecznie w oku,
 Kto nie ma oka, nie będzie rycérzem;
 A kto rycérzem, ten już po zakonie
 Znać to powinien, czego bronić trzeba:
 Więc naprzód stawać ma w wiary obronie,
 I Maryi Panny téj Królowej Nieba;
 Potém w obronie granicy — i basta!
 Bo reszta z tego już człeku wyrasta.
 A kto się takim puklerzem uzbroi,
 Kto przy kościele i granicy stoi,
 Ten się prócz Boga niczego nie boi.
 Tyle słów wszystkich — i pasuję niemi
 W Wielkiej Ojczyźnie ciebie na rycérza;
 Pilnuj zakonu! dotrzymaj przymierza,

A wszystko składaj w Bogu albo w ziemi....
Tyle słów wszystkich.“

I jakoż ni słowa
Nie rzekł już więcej do końca samego,
Ani następnie, ani dnia owego
Téj treści do mnie — lecz mądrość surowa
Przylgnęła mocno na zawsze do duszy,
I nie jéj z serca więcej nie wyruszy!

Boć to zaprawdę niezła była szkoła,
Gdzie oprócz nieba i stepu do koła,
Tylko mogiły świadczyły przeszłości,
I poprzedników pobielałe kości;
A prawdę poznać na rycérskim szlaku,
I ślad pocziwy własném sercem zmierzyć;
„Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!“
To w taką prawdę wiecznie trzeba wierzyć.

Kiedyśmy wyszli na hetmańskie szlaki,
Kazał Pan Mohort narodowe znaki
Odkryć — i z pierwszej stepowej strażnicy
Kazał otrąbić pieśń Boga-Rodzicy,
I rzecze do mnie: „To już grunt klasyczny,
I w ręku dzielnych, jak bułat dziedziczny,

Tu już tradycją trzeba dziaćwie mateczyć,
Bo ci spią głucho, coby mogli świadczyć.“

I odtąd wszystkie mogiły już liczył,
I wszystkie wały i graniczne kopce,
W których okopach gdzie kto stawał kiedy,
I kto dowodził, kto zwyciężył wtedy,
Wszystko to wszystko, nie było mu obce.
Nie raz to zjechał ze szlaku na milę,
By obóz stawał zawsze przy mogile,
Znał każdy futor, każdy młyn stepowy,
Każdą pasiekę pomiędzy parowy,
Każdą krynice, każdy krzyż przy drodze;
I kiedy nocą pofolgował wodze,
Sam koń już wiedział kędy mu potrzeba,
A ty patrz tylko gwiazdzistego nieba,
I gdy ta ziemia dla nas wszystkich była
Zaklętą księgą, gdzie tajemnie siła,
O które każdy tylko serca pytał,
To on w téj księdze tylko jeden czytał.

Nie tyle grozą, jak raczej dozorem
Stała chorągiew — bo Mohort był wzorem
Wojskowej służby — i kto pod nim służył,
Służbę pokochał i nią się nie nużył,
I mimo wiedzy nabiérał spokoju,
Powagi, hartu i serca do boju.

Lubił odwagę w towarzystwie naszym,
 Lubił i zręczność i dzielność na koniu;
 Ale broń Boże brzęknąć tam pałaszem,
 Lub dla pustoty harcować po błoniu,
 Zawsze ukarał za takie junaństwo;
 To się też strzegło i wybryków bractwo.

W samych początkach nie wiedziałem o tém,
 I nabawiłem się trochę kłopotem:
 Nad brzegiem Dniepru leżały tam kłody,
 Kędy chorągiew z końmi szła do wody.

Chętka mnie wzięła: a no czy koń skoczy,
 I nuż harcować przez kłody i łodzie,
 A w towarzystwie rozległ się ochoczy
 Okrzyk — a Mohort spuszczał się ku wodzie
 Z góry wąwozem — ja go nie dojrzałem;
 Ale jak zwykle, w towarzystwie całym
 Chciano koniecznie bym wpadł w samolówkę,
 I jak nowicysz opłacił frycówkę.
 Więc nikt nie ostrzegł, że Porucznik jedzie,
 Aż sam już krzyknął — „Będzie tego! będzie!
 A jakiż junak! jaki rycérz srodi!
 Ot z pozwoleniem... Ot powiem ja Waci,
 Nie wielka sprawa, że szkapa ma nogi!
 Kto chce być dzielnym, niechaj sobą płaci!

A gdy się stawisz do skoków ochoczym,
 To dla junaków są tu inne skoki;
 Kłody wysokie, a Dniepr nie wysoki,
 Więc proszę za mną! na tamten brzeg skoczem!“

I puścił konia — koń był dzielny, śmiały...
 Spłynął — a płynie, że widny grzbiet cały.
 Z razu pół biędy — lecz gdy w środku rzeki
 Przed się pojrzałem, a tu brzeg daleki,
 A woda zniosła, a strach mnie opłynął,
 To byłbym może w ów czas tam i zginął.

Ale mój Mohort, jak na szpaku bryznie,
 Jak mnie nie poprze swoim koniem z boku,
 Jak nie pochwyci, to już w jednym skoku
 Wyrwany z toni — stałem na mieliznie.

Wir nie széroki lecz był bardzo rwący,
 Daléj nie było koniom jak do brzucha. —
 „A co? — powiada — a gdzieś podział zucha?
 Kipi Dniepr bratku, chociaż niegorący!“
 Ale z powrotem to już czajka w biegu,
 Zniosła nas lekko od drugiego brzegu.

Nie było człeka w Litwie i Koronie,
Coby po służbie był mu rowiennikiem;
A jak pamięcią najstarsi sięgali,
Wszyscy Mohorta już siwego znali.

Z dawnych to wieków tak w Polsce bywało,
Że te chorągwie co na Rusi stały,
Starzejąc w służbie i idąc za chwałą,
Więcej Hetmanów, niż Królów słuchały.

II.

Dzielny był Mohort i silny i zdrowy,
Czysty jak gołąb, do ostatniej nitki,
Nie brakło nigdy ni szabli, ni kitki,
Lecz jak się zdało był bardzo wiekowy.

Miarkując z tego co sam opowiadał,
Już dobrze z górą sto lat sobie liczył —
Jakoż na konia z klocka tylko siadał,
Z wieczora sypiał, raz na dobę jadał,
A już z północks wszystkie kury liczył.

Za szwedzkiej wojny był już namiestnikiem,
I pięciu królów pamiętał na tronie,

Był to akt wiary każdego szlachcica
Na Ukrainie — że już po kościele
Niema jak Hetman na rycerstwa czele;
Że nie świętszego w Polsce — jak granica!
A strzedz granicy — to rycerska sprawa!
Więc też na krésach o to dbano mało,
Co się tam z królem i na sejmach działo,
Byle wojskowa nie cierpiała sława.
Lecz o to dbały ukraińskie duchy,
By się Pan Hetman choć raz na rok stawiał,
I dodał wojsku serca i otuchy,
I sam chorągwie w czystym polu sprawił.

Więc też i Mohort był na to zbyt czuły,
Co dla rycerstwa niósł obyczaj stary;

A od Hetmanów dane artykuły
 I straż graniczna — była aktem wiary!
 Tak zaś wysoko zasługi oceniał,
 Że po pacierzu, sercu w upominek,
 Imiona wszystkich Hetmanów wymieniał,
 A potem mówił — „Wieczny odpoczynek!“
 Za wszystkich, wszystkich Litewskich, Koronnych,
 Wielkich i Polnych — a co bitew dawnych,
 Co fortec wziętych, i co miejsc obronnych,
 Wszystkie wymieniał przy Hetmanach sławnych;
 A kolój dziejów miał tak ułożoną,
 Żeby i we śnie dokończył jój pono.
 „Klemens Branicki! — tu się zwykle wstrzymał —
 To już ostatni! ... dodawał powoli,
 To już ostatni! Panie i to boli! ...“
 A potem westchnął — westchnął i zadrzymał.

Ha! był to rycérz polskiego przymierza,
 Bo pamięć dziejów łączył do pacierza.

Z Litwy był rodem, choć na krésach służył;
 Choć stan rycérski nad wszystko mu płużył,
 Lubił i rolę, i miał stepu kawał,
 Futor, pasiekę i wszystko prócz domu;
 Ogrodu swego téż orać nie dawał,
 I obsiać ziarnem na wiosnę nikomu,

Lecz go sam orał — „Odwykać nie trzeba
 Człeku od roli, a wyknąć do domu!“
 Tak to zazwyczaj do nas młodych mawiał,
 Co wiosnę zorał choć zagonów parę
 Koło futoru — lecz domu nie stawiał:
 Bóg i animusz grzeje starą wiarę!
 A więc w namiocie od śniegu do śniegu
 Mieszkał zazwyczaj — czasem w wielkie szargi
 Przysiadł w pasiece — „O zaczniecie wargi!“
 I znów powracał po krótkim noclegu,
 Ale nie ściągnął na leże zimowe
 Jak równo z zimą, po pierwszej ponowie,
 Bo zwykł był mawiać: — „złe szlaki tropowe!“
 Szalone było téż u niego zdrowie,
 Zawsze pochmurny, choć się nie frasował,
 Nigdy w swém życiu i dnia nie chorował;
 Podpił raz na rok w dzień swego Patrona,
 „Vivat! Rycérstwo! Litwa i Korona!
 I Ruś co żywi nas tym chlebem Bożym,
 I kędy głowę i te kości złożym!“
 Tak zwykle kończył gdy go miód rozbierze,
 I ciągnął w myśli na — „zimowe leże!“
 W maju krew puścił, i pił jakieś zioła,
 I tyle szwanku miał na ciele zgoła
 Co odniósł w boju — ale był pocięty;
 Ztąd gdy przed burzą rany go targały,
 Ledwo mógł skończyć pacierz rozpoczęty,
 Chociaż w modlitwie był wszystek i cały,

Choć Litwin z rodu, choć uniata hardy,
Choć jak dyament, był katolik twardy.

Cztery mil prawie od granicznej luki,
Był tam monastér Ojców Bazylianów,
W nim księża wielkiej cnoty i nauki,
Wspiérani łaską okolicznych panów,
I nie daremnie — bo miała przytułek
Tam młodź uboga, z parafialnych szkółek:
I już nie jeden co u fórty jadał,
Kiedy się pięknie w tych szkółkach wyéwicył,
Na starość w ławce przy ołtarzu siadał,
A syn już po nim i wioski dziedziczył.

Sławne to miejsce było odpustami,
A stary Mohort był tam niby w domu,
Bo żył w poważnej przyjaźni z księżami,
I całe dzieje klasztoru nikomu
Nie były równie znane, jako jemu...
I tu od wszystkich starszy, po staremu,
Jak i na krésach poważnie réj wodził,
I z cicha kącik na starość łagodził.
I zawsze mawiał: — „kiedy już nie będzie
Mógł sięść na konia, a Bóg mu pozwoli
Zebrać co grosza, a klasztor zezwoli,
To na dewocyi u Ojców osiedzie.“

Jakoż w klasztorze miał już własną celę,
A w niej szlacheckie swoje depozyty:
Turecki namiot, drogie karabele,
Kilka par sukien, nie jeden pas lity,
Sadzone rzędy, co droższe rynsztunki,
Słowem rycérskie sprawne moderunki.
Więc i ksiąg kilka, i kilka puharów,
Kilka pamiątek jeszcze od Hetmana,
Parę kobierców i klasztornych darów,
I sławną szablę od samego Hana;
I familijne w kantorku papiéry,
I relikwiarzyk od matki nieboszczki,
I z Matką Boską ryngraf złoto-szczéry,
Święcone wianki i palmowe różeczki;
I Święci Pańscy ozdabiali ścianę,
A łoże nisko u ziemi wysłane
Było okryte końską skórą białą,
Jako na zakon rycérski przystało.

Miał i piwnicę własną dla wygody,
Co swoim sumptem przed laty zmurował,
W niej stare wina i wytrawne miody,
A jak mówiono i stary grosz chował,
Co go przekazał po najdłuższym życiu
Na klasztor (jako starszy brat cerkiewny);
Tylko ksiądz jeden, i jeden dziad pewny
Wiedział o skarbie, gdzie leżał w ukryciu.

Chodziła bowiem gadka między ludem,
 Że Mohort doszedł bogactw prawie cudem,
 Bo mu się nocą jakiś duch pokazał,
 Wichrami gnany w czyscowej katuszy,
 I pod mogiłą skarby mu przekazał,
 Prosząc, ażeby pamiętał o duszy.

Dziwne to dziwne są te sądy Boże!
 Łup hajdamaków znalazł się w klasztorze.
 Czyli tak było? nie wiem — lecz gadano,
 Że tym sierotom dał nie jedno wiano,
 Co po humaniskiej rzezi pozostały,
 I z miłosierdzia w chatach się chowały.
 A ile razy tylko nów nastawał,
 Za dusze zmarłych na msze święte dawał.

Dwa razy na rok dłużej się zabawiał
 W murach klasztornych: raz gdy gości gościł
 Na imieninach — to znowu gdy pościł,
 I rekolekcyę w Wielki-Post odprawiał.

Na Symeona bywał prąznik w maju,
 I w monastérze, w Święto Symeona,
 Obchodził Mohort dzień swego Patrona.

Monastér leżał prześlicznie śród gaju
 Cienistych dębów, śród lip i jaworów,
 I cała szlachta z okolicznych dworów
 W tym dniu zjeżdżała na solenizacyą;
 A Mohort suto podejmował bracia.

Namiot turecki stał zwykle wzniesiony
 Przed monastérem, dla uroczystości,
 A solenizant pięknie ustrojony
 Stał przed namiotem i przyjmował gości,
 I pośród gaju bywał dzień wesoły,
 Bo pod lipami zastawiano stoły,
 A gdy wiwatów nadeszła już pora,
 Trąby ich odgłos roznosiły z wieży
 Na okolicę — a na znak Rektora,
 Bito na vivat z klasztornych moździerzy.

A potem znowu cicho przez rok cały
 Bywało w gaju — tylko słowik śpiewał,
 Tylko głos dzwonu w dłuż jaru przepływał,
 I po nad źródłem światelka migają,
 Gdzie z pod kapliczki sączył się źródło mały.

I w ciągu roku zdarzało się częściej,
 Że ze mszą świętą księża przybywali,

I dobrodzieja na luce zwiedzali,
Chcąc się dowiedzieć, jak mu Pan Bóg szczęści?

Na nabożeństwie czterdziesto-godziném,
I na Popielcu z nami jeszcze bywał,
I „Gorzkie żale“ — po sumie zaśpiewał;
Lecz po nich zdawszy już komendę innym,
Wracał na futor i brał kubrak na się —
A co ubierał przez rok cały w czasie,
Z sadu, z pasieki, z bydła, i ze młyna,
Z tego szła więcej niżli dziesięcina
Do monastéru Ojców Bazylianów.

Dwie — a czasami — trzy wołowe maże
Suto ładowne, szły dla Ojców w darze —
A na najpiérwszój sam siedział na wierzchu,
I zwykle stawał na miejscu o zmierzchu;
A gdy zadzwonił u fórty klasztornej,
To już nie rycérz, lecz kubrak pokorny,
Odsyłał ludzi do dom w Imię Boże,
A sam się wpraszał pokory słowami
Na rekolekcyje — a wozy z wołami,
I cały zapas zostawał w klasztorze.

To już przez cały Wielki-Post się bawił,
I włosiennicę pokutną przywdziewał,

Długie godziny na modlitwie trawił,
I z księżą razem w chórze pieśni śpiewał;
Bo jako rycérz wziął pokorę z daru,
Więc na usługach cichych i pokornych
Czuwał przy chorych, a chłopców klasztornych
W kolój pacierza słuchoł i Alwaru.

Tu na rok cały léki przysposabiał:
Jeruzalemski balsam zwykle rabiał,
Maść Matki Boskiej cudną od zranienia,
Rycérski kordyał z ziół i okowity,
Na wszelkie wewnętrzne bóle wysmienity,
I jakieś proszki od gadu kęszenia.

Tu zapas kartek zwykle wygotował,
Któremi ludziom febrę odpisował;
A dla klasztornej i własnej wygody,
Przepędzał wódki i rad sycił miody

A gdy pomyślał o duszy i ciele,
O refektarzu, o świetle w kościele,
I o kaléctwie u klasztornej fórty,
Gdy chłopców postrzygł i w łaźni wyparzył,
I przybrał w nowe koszule i kurty,
A okoliczne ubóstwo obdarzył:

Wówczas dopiero dla sławy Narodu,
 Przy postnych grzankach i przy szklance miodu,
 Z całego roku z pomocą Rektora
 I „Sylvam rerum“ spisywał z wieczora;
 Aby w klasztornych księgach pozostało,
 Co się w Ojczyźnie i w Kościele działo ...

Gdy Wielki-Tydzień w końcu już nadchodził,
 Mohort zazwyczaj wszystko załagodził;
 A kiedy Mękę Pańską zakonnicy
 Rozpamiętywać w końcu poczynali,
 Klęczał i Mohort tam, gdzie się kapnicy,
 Zakrywszy głowy, w skrusze biczowali ...

Aż w Wielki-Czwartek znów był mundur wzięty,
 Gdy przystępował do spowiedzi świętej ...
 A choć post cały gdzieś w kąciku jadał,
 To w Wielki-Czwartek gdy mundur ubierze,
 Po prawej ręce Rektora zasiadał
 I w refektarzu jadł Pańską Wieczerzę.

A po Wieczerzy, starym obyczajem,
 Na koń i do dom — komendę odebrał
 Przed rezurekcyą — i do ust nic nie brał,
 Póki się z nami nie podzielił jajem ...

Przeszedł czas długi saskiego pokoju,
 Rozpił się Naród i odwykł od boju,
 Po nim nastąpił wiek innego kroju:
 Stanisław August i uczył i stroił,
 Lecz ni douczył, ani też dozbroił.
 A mój Pan Mohort przez te wszystkie czasy,
 Gdy inni tylko popuszczali pasy,
 Jak słup graniczny na granicy siedział,
 Starzejąc w służbie, a zawsze o swoim;
 I choć na krésach o wszystkiém nie wiedział,
 Trapił się w kraju tak długim pokojem;
 I dochodziły o nim Króla słuchy,
 Poznał go nawet kiedy był w Kaniowie.
 Lecz że Królowi przydworni panowie
 Ganili zawsze te stepowe duchy,
 Ztąd też i łaski u tronu nie mieli,
 Chociaż w usługach ojczyzny starzeli.

Był tam Rudnicki, był tam Madaliński,
 I Mokronowski późniejszymi laty,
 Czasem przebywał i Hetman Ogiński ...
 A towarzystwo? to Konfederaty
 Co drugi prawie — i komu zaduszo
 Było w Koronie, w partyi ukraińskiej
 Znalazł i miejsce i okazyą słuszną,
 Dawnych przyjaciół lub przymierze nowe,
 I miał przynajmniej już złożyć gdzie głowę.

Ztąd tutaj tylko, i u takiej wiary,
 I duch rycerski i obyczaj stary
 Mógł się przechować jeszcze po staremu;
 I kto tu widział wszystko jeszcze cało,
 Nie mógłby nigdy nawet wierzyć temu,
 Co się podówczas już w Warszawie działo.
 Lecz i na kręsy przysła w końcu kréska,
 Bo się poczęto przypatrywać z blizka
 Sprawom i ludziom, w obozie i w radzie,
 Bo się ważyły rzeczy w nowym składzie.

W koronném wojku miał żołnierz traktament,
 I cudzoziemski był już autorament,
 A kawaleryi narodowej strojem
 Każdy towarzysz służywał o swojém,
 I sam się żywił, i zbroił i odział;
 Komenda polska, na chorągwie podział,
 I małe poczty prowadził namiestnik...
 A już z chorągwią Pan Porucznik chodził,
 Kiedy Rotmistrzem był Miecznik i Cześnik,
 Co nigdy w służbie ludźmi nie dowodził,
 Bo w Wielko-Polsce lub w Krakowskiém siedział
 I o chorągwi swojej ledwo wiedział.

Takim to sprawy szły podówczas szykiem,
 I był Pan Mohort takim Porucznikiem.

A że najstarszy był służbą i wiekiem,
 Że rzecz nie stała ranga, lecz człowiekiem,
 Że wiecznie siedział na miejscu i łęku,
 Ztąd wszystkie końce jeden trzymał w rękę;
 Przeszli Hetmani i Regimentarze,
 A to się działo co Pan Mohort każe,
 Bo stał przy Bogu i brał rzeczy nago,
 Ztąd stało wszystko tam jego powaga.
 I gdy Król pytał: — „A cóż się tam dzieje?
 Jakiż od Dniepru duch tam teraz wieje?“
 To zawsze wyszedł z partyi ukraińskiej
 Na wierzch Pan Mohort i Pan Madaliński;
 Lecz wypadało to w końcu odmienić;
 Czego zgnieść trudno, to trzeba pocenić.
 — Weźmy Mohorta tutaj do Warszawy,
 A jakoś pójdą ukraińskie sprawy —
 Lecz Pan Branicki im na to powiada:
 „Weźmy Mohorta, bardzo piękna rada,
 Ale ja wątpię czy się to powiedzie,
 On służbę rzuci, a tu nie przyjedzie,
 I cała partya tylko się oburzy,
 Bo Mohort służy, jako nikt nie służy.
 Takich jak Mohort nie wielu naliczym;
 Jeżeli nie służbą, nie ujmiem go niczém!“

A pod te czasy przybył do Warszawy
 Był Księżę Józef, co się z Kińskiej rodził,

I za granicą dłużej do szkół chodził,
I nabył nawet już wojskowej wprawy,
Bo Regimentem Cesarskim dowodził;
Ale że z rodu był w pół cudzoziemiec,
Ze nie znał kraju, i nie miał zacięcia,
Ztąd nie miał w wojsku ni w Narodzie wzięcia,
I pospolicie był zwan: Książę-niemiec.

Król się tém strapił — bo go umiał cenić,
Więc wypadało coś jakoś odmienić,
I dać mu jakąś sankcyą osobliwą.
Tu Pan Ogiński wpadł na myśl szczęśliwą
Wezwać Mohorta i oddać mu Księcia:
Polską komendę niech pozna co żywo,
To i nabierze polskiego zacięcia,
I jeszcze w wojsku i w Narodzie wzięcia.

Więc jako Hetman i najstarszy družba
Pana Mohorta, taki list wyprawił:

„W Bogu, i z Bogiem!

Towarzyszu służba:

Konno i zbrojno będziesz tu się stawił.“
— „Niema co mówić, ordynans Hetmana“
Rzekł Pan Porucznik kiedy list przeczytał;
Więc zdał komendę, a nazajutrz z rana
Już go na drodze promień słońca witał.

W Warszawie Hetman zapoznał go z Księciem;
Od pierwszej chwili, gdy mu spojrział w oczy

I pojał jaki to się świat w nich mroczy,
Był dla Mohorta z tak wielkiem zajęciem,
Iż rzekł w pokorze do Hetmana: „Wierzę,
Że mi się uczyć, gdzie tacy rycerze!“
I odtąd tylko z Mohortem na koniu,
I odtąd tylko przy mustrze na błoniu
Widziano Księcia, i poczęto chwalić,
A piękne Panie poczęły się żalić:
„Co to za trudy na takie paniątko!
Z takim rębaczem zdziczeje Książątko.“

A gdy Pan Hetman coś w tygodni parę
Spytał Mohorta — „Czyś tam kontent z Księcia?
Czy najdzie przecie na naszą tam wiarę?“
„Dobry — rzekł Mohort — nabiera zacięcia,
Jest krew pocziwa, i serce, i oko;
A jak się w boju spotka z Panem Bogiem,
Tó może z czasem urośnie wysoko,
I będzie kogo postawić przed wrogiem.“

U Kapucynów stanąwszy kwaterą,
Ciągłe na koniu, cały dzień na dworze,
Związał się z Księciem przyjaźnią tak szczera,
Że Książę zwiedzał go nawet w klasztorze,
Gdzie także bywał i Hetman Ogiński,
Przyjaciół całej partyi ukraińskiej.

Tam to o mustrze nie było już mowy;
 Dyskurs duchowny, lub tylko sejmowy,
 Bo Gwardyan święty, Pan Hetman surowy,
 Mohort rycerski — ot i była szkoła:
 To chociaż nie raz pokojowiec woła,
 I listki nosi, i na ustęp prosi,
 To Księżę tylko ciągle go odgania,...
 I tak do gustu szły mu owe zdania,
 Tak je brał chciwie, że nie było mocy
 Z klasztoru wyrwać Księcia o północy.

Jedyną tedy pociechą w Warszawie
 Był Mohortowi Ogiński i Księżę...
 Lecz choć i klasztor, choć i przyjaźń wiąże,
 Tęsknił do krésów i zmizerniał prawie:
 „Już mi tu zginać widzę w téj Warszawie.“

Wisła mu Dniepru nie mogła zastąpić,
 I każdą chwilą życia począł skąpić;
 Więc kiedy Księcia już nauczył służby,
 Nie chciał pozostać w Warszawie i chwili:
 „Tęsknią tam po mnie i konie i drużby,
 Muszę na szlaki!“

Więc Król go przywołał,
 I ledwo słowa wypowiedzieć zdołał,
 Ile mu wdzięczny i ile go ceni,
 Że mu Synowca tak pięknie wyćwiczył

W rycerskich sprawach — że się szczęsnym mieni
 Mieć go w swém wojsku — w końcu żeby życzył,
 Aby Mąż taki, co tak dzielnie stawał
 W obronie kraju przez lat szereg długi,
 Przyjął nagrodę — a więc krzyż mu dawał,
 I rotmistrzowską buławę zasługi
 I ukraińską słobodę na wieczność,
 A przy tém była i łaska i grzeczność
 Króla tak wielka, że aż dwór się zdziwił,
 Za co łask tyle i tyle partesów
 Dla szerepetki z ukraińskich krésów.
 Sam tylko Mohort coś trochę się skrzywił,
 I rzekł do Króla: — „Miłościwy Panie!
 Umieć ja cenić choć w pomiernym stanie,
 I łaskę Waszój Królewskiej Miłości,
 I niepowszednie Jego dla mnie względy;
 Ale nie dla mnie takie dostojności,
 I po staremu rzecz nie idzie tedy!“

Chrzest — to Sakrament niczém niezmazany,
 Ja na chrzcie świętym wyparłem się czorta,
 I krzyż przyjąłem krwią Boga oblany,
 I ufam w Panu — że Pan Bóg Mohorta
 Karać nie będzie choć przynajmniej za to,
 (Jeżlim nie więcej sobie nie wyprosił),
 Bom dla ojczyzny ten krzyż wiernie nosił,
 Stojąc na czatach przez nie jedno lato;
 Więc po raz wtóry krzyża wziąć nie mogę!

Co do buławy — zaszczyt to rycérski,
 Ale w chorągwi Rotmistrzem Pan Kierski,
 A ja chorągwi mojej nie porzucę,
 Bom w niej zastarzał Miłościwy Panie!

A co do ziemi — to jój mam nie mało;
 A jeżeli z resztą w życiu jój nie stało,
 To jój dodadzą po śmierci — i stanie.“

Więc Król mu na to: — „A to mi Spartanin,
 To Polak twardy! — To Republikanin...
 Teraz dopiero ciężą mi me długi,
 Gdy mnie za serce taka cnota chwyta,
 Gdy za ubogą jest Rzeczpospolita,
 By mogła spłacić swych synów zasługi;
 Więc jedną prośbę mam tylko pod niebem:
 Nim się rozstaniem, przełamię się chlebem.“

I wielki obiad był nazajutrz dany
 Na cześć Mohorta na zamku królewskim...
 I do obiadu przyszedł Król ubrany
 W złotym pancerzu, i w płaszczu niebieskim,
 Jak na obrazach bywa ustrojony;
 Lecz do obiadu był tylko proszony
 Sam jeden Mohort z Królewską Rodziną,
 A był i Hetman.

Król bardzo łaskawy,
 Ciągłe się bawił tylko Ukrainą,
 I wypytywał o ludzi i sprawy;
 Pod koniec stołu, zawołał: — „Panowie!
 Ojciec ojczyzny wnoszę teraz zdrowie
 Tu najstarszego w ojczyźnie Rycérza!
 Niechaj nam żyje, z nami się sprzymiérza!“

I wypił kielich, i wszyscy powstali,
 A po toaście wyszedł już Król z sali,
 I zdjął ów pancerz; a Pani Krakowska
 Wniosła go za nim wraz z pięknym szyszakiem,
 I wraz z pancernym przez nią szytym znakiem,
 Złożyła razem przed Mohortem zręcznie,
 I słów nie wiele, lecz rzekła tak wdzięcznie,
 Że wszystkich w głębi przejęły te słowa.
 Na piersi zwiśla Mohortowi głowa,
 I rzekł wpatrując się w ów znak pancerny:
 „Hej! ptaku, ptaku pancernego znaku!
 Jak zawsze byłem téj chorągwi wierny,
 Tak Królu, Panie! stoję Bożą wolą,
 Rany nie bolą — lecz łączy takie bolą.“
 I Książę Józef na starca się rzucił,
 Sam Król łzę otarł — Hetman się odwrócił...
 I słyhać było tylko czyjeś łkanie,
 I takie było z Dworem pożegnanie.

Kiedy nazajutrz słońce w pełnym blasku
W Wiśle zagrało, poił Mohort konia
W Wiśle na drogę — w tém tętent przez błonia
I jakieś wierzchy wymykają z lasku.

Mohort się spojrzał — a tu jedzie Książę
Na czele całej dobranej młodzieży,
I woła: — „Teraz Pan Mohort uwierzy,
Że kiedy służba, to i na czas zdążę!

Z rozkazu Króla mam oddać tę zbroję
I konia z rzędem, i niech Bóg prowadzi!
A jeżeli wolno, składam służby moje,
Bobyśmy gościa przeprowadzić radzi.“

„I owszem, proszę! — rzekł Mohort wesoło;
To mi to życie, kiedy takie koło;
Jabym odprawić miał taką drużynę?
Ja proszę z sobą choć na Ukrainę!“

A w tém nadjechał królewski Koniuszy,
Prowadząc konia — koń był wielkiej duszy,
Oczy jak gwiazdy, jako piekło chrapy,
Szyja jak łabędź, a piersi jak wrota,

Rzęd staro-polski, aż kapał od złota,
Choć przysłoniony tureckimi kapy.

Koniuszy — odkrył tyftyk — a u boku
Upięty pancerz i szabla w wytku,
Szyszak na łąku, a tuż przy szyszaku
Spływa proporzec pancernego znaku.

Spojrzał się Mohort i podumał głową,
Koń parsknął rażno — a on krzyknął — „zdrowo!
Zdrowo mój kosiu! — takiego bachmata
Daj Hetmanowi, a przejdzie kraj świata!“
Pogłaskał konia i nareszcie powie:
„Ha komu w drogę, temu czas panowie!“

I z koniem ruszył pan Koniuszy przodem,
Książę po lewej, Mohort po prawicy,
Reszta za nimi, i wolnym pochodem
Jadąc ku Górze, w równej okolicy,
Spojrzelili czasem ku murom stolicy....

Ranek jesienny był bardzo pogodny,
Ale od wschodu pociągał wiatr chłodny
Ktoś ich dopędził — patrzą —

Pędził i stanął — A to ja Ogiński,
 Stary przyjaciel partyi ukraińskiej,
 Z ranym obiadkiem czekam Panów w Górze.

I jakoż w Górze, z południa dopiero,
 Pana Mohorta pożegnano szczéro ...
 I tu dopiero kiedy na podziękę
 Do strzemiennego wyciągnął już rękę,
 Siedząc na koniu, pieśń starą zaśpiewał,
 Którą dziękował, gdy podjętym bywał:

„Czas do domu czas!

Zabawili nas!“

III.

Długo toczyła Wisła swoje fale,
 I Dniepr niósł długo porohom swe żale,
 O i nie mało upłynęło wody
 Od owój chwili, kiedy Książę młody
 Żegnał Mohorta, aż do czasów owych,
 Gdy już komendę hufców narodowych
 Objął nareszcie w Polskiej Ukrainie

Gdy odebrawszy listy Madaliński,
 Przybycie Księcia Józefa zwiastował,
 Była ztąd radość w partyi ukraińskiej,
 Bo Mohort Księcia wielce umiłował;
 A choć się trapił Najjaśniejszym Panem,
 I sejmem takim nad wszystko się smucił,

Co starą władzę Hetmanów ukrócił,
 Rad byłby Księcia powitał Hetmanem,
 Bo jego szczere znał dla kraju chęci,
 I mile chował te czasy w pamięci,
 Kiedy mu Hetman młodzieńca poruczył,
 Aby pocziwie służby go nauczył.

Z przybyciem Księcia, wojska narodowe
 Na krésach życie rozpoczęły nowe:
 Bo wiele pięknej przybyło młodzieży,
 Przybyło ducha, serca i dzielności,
 Wszystkie chorągwie wzmocnił zaciąg świeży,
 I co dzień nowych miewaliśmy gości;
 Bo młody Książę, jeździec zawołany,
 Lubił i harce i rycerskie sprawy;
 A więc z wojskową służbą na przemiany,
 Szły karuzele i wiejskie zabawy...
 Często i Panie obóz odwiedzały,
 A nawet bale i tańce bywały.

Wszystko zaś było takie przyzwoite,
 I wesołością taką ożywione,
 Takie dostojne, takie wyśmienite,
 Że nawet Mohort czoło namarszczone
 Na chwilę czasem jeszcze rozweselił,
 I z młodą wiarą zabawę podzielił.

Kogoż nie zbiedzi, i kogoż nie znudzi
 Na Ukrainie ta rozkal wiosenna?
 Lecz co za rokosz, gdy się ziemia senna
 Po długiej nocy znowu ze snu budzi!
 W ów czas się wiosna do razu już robi,
 Bo to zaledwo że się śnieg roztopił,
 A tu wiatr ciepły i dėszezyk przekropił,
 I już zielono — i ziemia się zdo
 W trawy i kwiaty — zwierz opuszcza nory,
 A w pole wabi nadzieja i praca,
 Step się uśmięcha, i kwitną futory,
 I co dzień nowe ptastwo do gniazd wraca.

W taki to ranek zawezwał o świecie
 Książę do siebie cały kwiat młodzieży,
 Chcąc się wykapać w stepowym błękiecie,
 I znów przehulać konie co najszczerzej.
 Co to tam było serca i ochoty,
 I co konceptów! co dzielnej pustoty!
 Przez parę godzin, nie pilnując drogi,
 Niosły nas konie w nieznane rozłogi;
 A choć do koła był tylko step goły,
 Przecież tak piękny był świat i wesoły,
 Jakby go Pan Bóg dopióro był stworzył,
 I młodą duszę ku niemu otworzył.

Słońce już było podbiegło wysoko,
 Gdyśmy stanęli nad dobrą szeroka.

„Nie źle się składa! — rzekł Starszy krésowy, —
Bo to jak widzę futor Mohortowy!“

„A to wybornie! — rzekł wesoło Książę,
To i odwidzim dziś starego ćwika!
Puśćcie mnie naprzód, niechaj pierwszy zdązę
Po służbie witać mego Porucznika!“

I sam się spuścił najpierwszy do jaru;
Jar był szeroki i pięknie obrosły,
Jak uroczysko, niby pełen czaru —
Drzewina kwitła, dąb strzelał wyniosły,
A na dnie jaru jeszcze z nocnej rosy
Trawy nietknięte, — w dali jakieś skały,
Nad nami w krzewach leśnych ptasząt głosy,
A żywe wody pod nami zagrały....

Święty Onufry, z brodą za kolana,
Kłęczał w pustyni wśród małej pieczary,
A wnijsie do niej brzość ocieniał stary,
A u stóp jego krynica rozlana,
Żywym do jaru upływała zdrojem —
I jar oddychał uroczym pokojem,
I wonne jego owiały nas chłody —
A niżej nieco, zbierały się wody

W stawku niewielkim, i turkotał młynek;
Dalej pasieka pośrodku kalinek,
A jeszcze dalej laszek czeremchowy,
A w nim rozpięty namiot Mohortowy.

Ognisko z nocy jeszcze nie wygasło,
A przed namiotem wiała chorągiewka,
Kilka się koni niżej młyna pasło,
I jakaś smutna ukraińska śpiewka
Płynęła jarem —

Wstrzymaliśmy konie,
Patrząc do koła urokiem zakłęci:
Takie to cudne było to ustronie!

„W takich to jarach żyli Pańscy Święci!“
Rzekł stary Kozak — skoczył do krynicy,
Z czcią się przeżegnał w pustyni uroczej,
Czerpnął ze źródła, i przemysły oczy
Wyniósł dla Księcia wody w ładownicy.

„Na zdrowie, szczęście, na wiek i urodę,
Niechaj Wam będzie! a pijcie tę wodę,
Bo takiej wody ani w naszym kraju,
Ani nie dostać nawet i z Dunaju!“

A kto na Jura tak do gwiazdy wstanie,
 Że raniiej oczy od ptaszka obmyje,
 I piérwój zdroju od niego dostanie,
 I niezmaconej wody się napije,
 Temu na życie stanie prawdy w głosie,
 I będzie patrzył czysto jak po rosie!“

W istocie była to wyborna woda!
 Raczej dla duszy niż ciała ochłoda,
 I każdy rad też był wytchnąć po znoju,
 I przemyć oczy i przejrzeć się w zdroju,
 I ładownicą zaczerpnąć z krynicy,
 Którą za świętą czczono w okolicy.

Ale już z łąki i konie zarżały,
 I psy się głośno od młyna ozwały.
 „Na koni! rzekł Książę — tam widzę ktoś orze?
 Ba to sam Mohort! i puścił się przodem —
 — Daj Boże szczęście! — a Mohort: „szczęście Boże!
 Co widzę, Książę? i z takim narodem?
 Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!
 A czy od szlaku droga czy z Budziaku,
 Z czego człek powstał, o tém myśleć trzeba,
 Ani Hetmanom bez Boga i chleba!
 Gdy Bóg dał gości, to puść w łąkę woły,
 Niech i im będzie dzisiaj dzień wesoły...“

Chłopak posłuchał — pług został na roli,
 A Mohort przeszedł po niej się powoli,
 Z kraju basztanu, na piérwszym zagonie,
 Stała po starym zwyczaju zatknięta
 Szabla — bo orzeł w rycerskiej koronie,
 A ziemia szablą broniona jest święta,
 A pług miał miejsce i przy Piastów tronie.

Mohort wziął szablę i wąsów poprawił,
 I jak po służbie przed Księciem się stawił:
 „Porucznik Mohort, na krésach stojący,
 A Waszą miłość wielce miłujący!“
 Książę go ścisnął, a on do komendy:
 „Do woli z konia! Towarzyszom wszędy
 Wolno się bawić — a konie w ordynek!
 Pacholki z końmi staną tam pod płotem,
 Siedmiu na wartę, po dwóch przed namiotem,
 Na krótkie straże — reszta na spoczynek!“

— Otóż to lubię! — rzekł wesoło Książę —
 Gdy jest komenda, to i dobrze będzie!
 A Mohort na to: „jakoś to się zwiąże,
 Niech tylko Książę z konia już zesiędzie.“

I nie ubiegła może i godzina,
 A już podano śniadanie ze młyna,

Na prędee zbito z kilku tarcie stoły,
 A z drugich kilku ławy przyrządzono,
 Wiarus kucharzył z młynarką na poły,
 I obozową ucztę zastawiono.
 Barszcz był wyborny, a baran był z różną,
 I jajecznicą, a arcy-wielmożną,
 Bo przystrojona wieńcami kiełbasy,
 A był do tego i podpłomyk świeży,
 Kubek gorzałki, i kufelek miodu,...
 Sztuciec i łyżkę — jeszcze w owe czasy
 Miał każdy z sobą zwyczajem żołnierzy;
 A więc nie było kłopotu ni głodu.

Po tém śniadaniu Mohort pchnął cichaczem
 Kilku posłańców i pacholców konnych
 Do monastéru, by nie brakło na czém,
 I w zaprosiny do dworów postronnych.
 I rzekł do Księcia — „Ha wprawdzie pospołu
 Nie jadłem z Księciem jeszcze beczki soli,
 Lecz jeżeli łaska, zjemy razem wołu,
 I beczkę miodu wypijem powoli!“

W koło namiotu tok był wystrugany,
 I jaworowym liściem usypany,
 I sam ksiądz Rektor jeszcze przed wieczorem
 Przybył z zapasem i klasztornym dworem,

Z miodem, i ze mszą, i przywiózł specyały,
 I ów turecki namiot okazały.

Nazajutrz z rana już Marszałek Księcia
 Nadciągnął z kuchnią i całym taborem,
 I było więcéj co chwila zajęcia,
 Bo nawet Panie przybyły wieczorem...
 I do stu osób siadało do stoła,
 I trzy dni trwała gościna wesola.

Sam dziś już z tego nie umiem zdać sprawy,
 Jak można było w stepowym futorze
 Wyprawiać takie ucztę i zabawy,
 I podejmować jak na pańskim dworze,
 Z taką łatwością pierwszych ludzi kraju:
 Że nikt się z gości, ni skrzywił, ni pieścił,
 Że się gdzieś każdy niezgorzej pomieścił.
 Jak się to działo? — nie wiem — lecz się zdaje,
 Że cały sekret leży w obyczaju.

Szlachetne były proste obyczaje,
 A szlachetnemu nic nie bywa krzywe,
 A prostéj duszy wszystko jest pocziwe;
 Więc téż umiano wszystkiego tam użyć,
 A jak rozumiem, umiano i służyć.

Człowiek był wszystkim, reszta wszystko niczém,
 Ztąd gdy w świat patrzył pocziwém obliczem,
 Podnosił wszystko w górę do téj miary,
 Szlachetnej duszy i do dobrej wiary,
 Jaką się w życiu i w sumieniu rządził,
 I nią téż ludzi i wypadki sądził....

Gdy się bawiono, każdy chciał zabawy,
 Więc się nią zajał, i nikt się nie nudził.
 A że obyczaj dawał wiele wprawy,
 Ztąd téż zabawą nikt się nie utrudził,
 Ale umiano zająć każdą chwilę,
 I każdą rzeczą zatrudzić się mile;
 Jedno ukochać, a drugie wysławić,
 Ot krótko mówiąc: umiano się bawić.
 A więc gdzie padło, w pałacu czy w borze,
 Wszystko szło gładko — więc i na futorze;
 Z obecnych gości nikt nie myślał o tém
 Żeby być mogło lepiej lub inaczej,
 Gdy każdy kontent, a gospodarz raczy.

Książę i Mohort stali pod namiotem,
 I tu straż stała, bo to swoją drogą
 Szła służba służbą — Marszałek załogą
 Stanał we młynie z całym Księcia dworem;
 Wszyscy Panowie pod szopą taborem;

Rektor z piwnicą mieścił się w stebniku,
 Licząc gąsiory i butle w kąciku;
 A wszystkie Panie sypiały pokotem
 Pod owym sławnym tureckim namiotem,
 Co był pod Wiédniem niegdyś jeszcze wzięty,
 A w kalinowym lasku dziś rozpięty.

Więc Książę Józef, jak gospodarz drugi,
 Sam się Marszałkiem dworu Pań mianował,
 Cały oddany Damom na usługi,
 Wszystkiem tak zręcznie w chwili pokierował,
 Że były rade i pełne wdzięczności:
 „Bo gotownia cała do Jejmości.“

Sam zaś gospodarz choć miał oko wszędzie,
 Tylko Panami znowu się zajmował,
 Bo wiedział z resztą że głodu nie będzie,
 Wiedział że woły i skopy podchowal,
 Że tu jest woda, tam ogień we młynie,
 Że sam książdz Rektor pomyślał o winie...
 A więc już resztę zdał na drugich wolę,
 I tylko bawił ciągle w męzkiem kole.

Jakoż i słusznie, bo gdzie Książę bawi,
 Tam i Marszałek i kucharz się sprawi;

A gdzie są Panie, tam i panny dworkie,
 Więc i wykwinie koncepta zamorskie,
 Bo dworska panna jak konceptem ruszy,
 I do skarbnicy swych sekretów sięgnie,
 To wiarusowi tak dogrzeje w duszy,
 Że nawet diabła do roboty wprzęgnie.

Więc też przy każdej zwijał się pałasik,
 I każda miała piorunem szałasik,
 Pod ręką ogień i wodę i służbę,
 I wystruganą ścieżkę do namiotu,
 I w pogotowiu posłańca do lotu,
 I powolnego w każdej chwili družbę;
 Więc były rade i pełne grzeczności,
 Bo gotowalnia cała do Jejmości.

Z rana msza święta codziennie bywała
 W owej pustyńce u świętego zdroju,
 A że to wiara do świtu wstawiała,
 Więc tu się każdy pomodlił w pokoju,
 A do mszy świętej sam Pan Mohort służył;
 I kiedy po mszy pogodę powróżył,
 Już przed namiotem zbierały się Panie,
 A Pan Marszałek zarządzał śniadanie;
 A potem na koń, i dalej na pole.
 Były i Panie co jeździły konno;

A gdy Kafarek wypuścił sokole,
 To nawet łabędź nie wyszedł obrouno,
 Jeżeli dosiedziały w stepowym jezioru,
 A drobną ptaszki co niemara w worku.
 Po takich łowach bywał obiad w lasku,
 A już wieczorem przy kagańców blasku,
 Sukno przed namiot, a na wóz trębacze,
 I taka radość że aż serce skacze;
 Więc pełnym sercem, co się komu godzi,
 Za kielich starsi, a do tańca młodzi.

Rej tam wodziła Pani Pupardowa,
 Prześliczna, młoda, pełna wdzięku cała,
 Kamińska z domu, żona Jenerała,
 Który nie umiał po polsku i słowa,
 I w owe czasy brygadą dowodził,
 Gdy cudzoziemski autorament wchodził.

Jeździła konno gdyby Amazonka,
 A w tańcu Gracya, że tylko malować,
 I kuć piękności każdego jej członka;
 Grzeczność okazać, wdzięk umiała chować,
 A przy tém skromna i sercem wyniosła,
 Jak gdyby wcale na królową wzrosła,
 Chociaż Pan Pupard był brzydki i stary;
 Więc Księżę co miał do Pań słabość wielką,

Ale zarazem dla cnoty cześć wszelką,
Palił tu wdziękom i cnocie ofiary.

Po takim balu, gdzie jasno pod niebem
Świeciły gwiazdy, a dołem kagańce,
Pan Mohort innym obdzielił nas chlebem,
Gdy nas nazajutrz wywiódł w step na tańce:
Bo tu i popis i szkoła nie lada,
Gdy nam podpędzić kazał swoje stada;
Dwa były stada — jedno zwał hetmańskim,
W niém rosłe konie polskiego zawodu,
Drugie nazywał zazwyczaj sułtańskim,
To już drobniejsze lecz wielkiego rodu.

Kiedyśmy stada objeżdżali w koło,
Zawołał ku nam Pan Mohort wesoło:
„No tu jest arkan, więc panowie młodzi,
Kto chce mieć konia, niechaj arkan rzuci,
I weźmie konia co w tabunie chodzi,
I niech na obiad do nas na nim wróci!“

Więc jaki taki w rzemiośle nieznaném,
Probował szczęścia i rzucał arkanem,
Ale daremnie —

„Hej! hej! szczęście nasze,
Że dziś z Tatarem nie wojuje Lasze.“
Zawołał w końcu, gdy spłoszone konie
Już się poczęły rozbiegać po stronie;
Lecz gdy po chwili rozsypały z rzadka
Stały znowu — rzekł: — „Oto jest matka!
Ta klacz wilczata, co tutaj na przedzie,
I ona wiecznie całe stado wiezie;
Dziśby zginęła wzięta z tego stada,
I żadna matka tak już nie przepada
Za swoim dzieckiem, jak za końmi ona,
I jako lwica, tak nieustraszona.
To postrach wilków, i chociaż już starka,
Utlucze wilków więcej od Kafarka...
A tu ta druga z małą strzałką, gniada,
To już ostatki Wiśniowieckich stada,
Krew arcy-pańska! tego rodu koni
Łapać na arkan ni ujeżdżać trzeba,
Bo same z młodu przychodzą do dłoni;
Gdy je chcesz użyć, podaj z solą chleba,
Ogłaszcz, oklepaj, i załóż wędzidło,
Siądź i jedź światem, byleby nie zrywać.
U każdej nogi u nich orle skrzydło,
Lecz się tych skrzydeł nie godzi używać,
Chyba już tylko w potrzebie ostatniej,
Kiedy ma wyrwać ze śmiertelnej matni;
U mnie jak dzieci na ręku się rodzą,
I za człowiekiem niewiązane chodzą.

Oto jój córka, zwie się Korybutka,
 Jak na rzut oka niby trochę krótka,
 Ale jak nie ma krótkiego pałasza,
 Bo jeżeli krótka, to pomknij się bliżej,
 Tak kiedy trzeba, ni dłużej, ni chyliej
 Sumak nie skoczy, jak ta perła nasza.
 Przed kilku laty zginęła ze stada,
 A po trzech latach sama wraca rada,
 Lecz sądzisz Książę że do koni może?
 Nie! mnie starego szuka na futorze,
 I rzy, i lata, że aż ziemia dudni;
 Poznałem rzenie, wychodzę z namiotu,
 A ona do mnie, i aż drży od lotu;
 Więc ogłaskałem i wziąłem do studni;
 Ktoś jój dopiero jedną okuła nogę,
 Więc rozkuć zaraz kazałem niebogę;
 A potem sobie przed namiotem legła,
 Jakby się sama obcej ręki strzegła.

A to Giżycka co chodzi po stronie,
 Jacy Giżyccy, takie ich i konie,
 Czém starsze, tęższe — a pewne po ćmaku,
 Ztąd nie ma równych do stepu i szlaku.

A to już sławny jest ród sahajdaczny,
 Białe jak mléko, ale skóra czarna,

Hardy, i twardy, i z razu opaczny;
 Ale jak ręka uchodzi go karna,
 Całemu wojsku za przednią straż stoi;
 Ktoby uciekał na nim, nie ujedzie;
 Lecz się nie lęka ni ognia, ni zbroi,
 I kto nacięra, ten będzie na przedzie;
 Daleko widzi i słyszy na milę,
 A dalej jeszcze wietrzy i przeczuwa;
 Nigdy nie legnie, chyba przy mogile,
 I inni kłusem, gdy on stępem suwa;
 Kędy raz przejdzie, nie zmyli już drogi,
 Sam na sam hardy, lecz przyjaciel duszny,
 I jako ręka człeku jest posłuszny,
 Kiedy już przyjdzie do okazji srogięj.
 W tém spytał Książę — „A to co za hetki?“
 Gdy troje koni myszatyh pomkneło;
 Na to rzekł Mohort — „To inwentarz letki,
 Ot i sam nie wiem zkąd się w stadzie wzięło.

Odkąd ma dusza końskiej maci rada,
 Zawsze się myszka przybije do stada,
 I jakaś niby napaść oczywista!
 Nie lubię myszki, bo maść narowista.
 Ale ksiądz Rektor myszki tylko chowa,
 Bo grubo-płaskie — więc i trudna rada.
 Dawnim odganiał tę hańbę od stada,
 Lecz teraz trudno powiedzieć i słowa:

Gdy klasztorowi myszka tak na czasie,
 To niechaj sobie i ta sierść się pasie.
 A jeżeli gorszy Księcia to myszate,
 Jakże się wyda izabelowate,
 Co tam spokojnie po stronie się wlecze?
 Cóż Mości Książę o téj klaczy rzecze?
 To moja Iskra — „Kahorlicka córa,“
 Z stada Tarnowskich, z bachmatów hetmańskich,
 Nie sierść lecz jedwab — pargamin nie skóra,
 Zdatna do harców tylko arcy-pańskich.
 Ktoby chciał wiedzieć jaka cnota w rodzie,
 Niech ją użyje w rycerskiej przygodzie;
 Dopóki młode, ma to krowie nogi,
 Podobne osłu — coś później do muła;
 Rok siódmy, ósmy dodaje ostrogi,
 I więź i oko i zagra krew czuła;
 A gdy chrzest broni i trąbkę usłyszysz,
 Rozdziera nozdrza i aż drży, aż dyszy,
 I czuć wyraźnie aż w sercu przez siodło,
 Kto téj krwi panem i co w bój go wiodło.

Po Izabelce, nie ma już w tém stadzie
 Jak ta tu z grubą hreczką co na zadzie,
 To ród sułtański dalekiego wschodu,
 Gdzie struś w pustyni gniazdo swoje kładzie;
 Więc orle piórko nie wychodzi z rodu.
 Wielkie na koniu Bóg położył znaki,

Jednak i wicher bywa nie jednaki;
 Poniżej oczu podły wicher wszelki,
 Powyżej oka wielkiego przymiotu,
 Bo rozum znaczny — na szyi znak lotu,
 A już na piersi znak odwagi wielkiej;
 I koń o jednym wicherze to już dobry,
 O dwóch, ma narów — ale znowu taki
 Coby miał razem trzy niebieskie znaki,
 To już i mądry, i lotny, i chrobry;
 I wielką łaskę ma u Pana Boga,
 Komu do boju padnie na nim droga,
 Bo nie da dotknąć jeźdźca; gdy na przedzie,
 Wszystkich wybiega; gdy wyciągnie szyję,
 Nie ma co rąbać, bo piersią rozbije;
 A jak wnijść umiał, tak samo wywiedzie.
 Nie darmo w świecie to pustynia słynie:
 Póki w ojczyźnie jeszcze nie zaginie
 Koń do pęciny od łba żyłkowany,
 Póty i rycérz będzie jeszcze znany.

Ten brudny kasztan, co tam jeden chodzi,
 To syn Sułtanka, a koń pod Hetmana,
 Trzy orle piórka i tam gdzie się godzi,
 I biała nóżka do tego sudanna,
 Więc nic lepszego!“

I krzyknął: „Arkana!!..
 To koń dla Księcia, bo to wichrów czoło!“
 Skoczyli ludzie — czychają w około,

Wzrok się zapalił Panu Mohortowi,
 Zebrawszy arkan podjechał z nienacka,
 I jak pierścionek tak go rzucił z gracka;
 A gdy padł prosto na szyję koniowi,
 Kiedy koń ruszył, Mohort arkan ima,
 Wziął go o kulę, pod nogę, i trzyma!
 I jękała ziemia, i przypadli ludzie,
 A w mgnieniu oka i koń się powalił,
 Że się z nas każdy nad nim aż uzałił;
 Ale tabuńczyk po niedługim trudzie,
 Już go ochętna, i tak się uwinał,
 Że siadł na niego i z oczu nam zginał.

Długo Pan Mohort patrzył za nim w pola,
 I rzekł nareszcie — „I to Boża wola,
 I pójdzie ręką, gdy się tak prowadzi,
 Bo poszedł równo, a jak strzała sadi.“

A gdy wysoko Książę ten dar ważył,
 Taki był kontent, że już dnia owego
 Nie tylko starszych lecz i z nas każdego
 Koniem ze stada swojego obdarzył.

Nazajutrz Książę tylko Damy bawił,
 I niewidziany karuzel wyprawiał.

Sliczna to była gonitwa i wprawa,
 A co się zowie rycerska zabawa.
 W pierścień toczono, a tureckie głowy
 Padały w koło od strzału i cięcia.
 „Sliczna zabawa, nie ma ani mowy,“
 Rzekł nawet Mohort pod koniec do Księcia.
 I tak się bardzo dnia tego rozbawił,
 Że podwieczorek w pasiece wyprawiał,
 Choć tam nikogo nigdy nie prowadził,
 I z cicha tylko z pasiecznikiem radził.
 Tu już świat inny:

Bujna w stepach pszczoła,
 Pni przeszło tysiąc stało dookoła ...
 Kilka grusz starych chyliło się w środku,
 A oddech kwiatów i smołki czy miodku
 Napełniał wonią całą okolicę;
 Z pola wracały ciche pracownice,
 I całe grono ucichło na chwilę
 Oczarowane tą wonią tak mile.
 A Mohort rzecze: „Dziwić się nie trzeba
 Tutaj niczemu, bo to dary nieba,
 Którymi Pan Bóg ziemię z niebem brata;
 Jest to jak mówią: Gratia gratis data.

Sławna to, sławna Mości Książę pszczoła,
 I jest tradycja, co krąży do koła

Po stepach Bohu, i po stepach Rosi,
Z którą się Naród po pasiekach nosi.

Był Mości Księżę Hetman od Różańca,
Wielkiego herbu, potężnej buławy,
I jasnej cnoty i szerokiej sławy,
Co od chłopięcia chodził z wrogiem tańca,
Co z hełmu jadał, a sławy przysporzył,
Z turzego rogu w czasie uczty pijał,
Co Naród kochał, co królowi sprzyjał,
A za ojczyznę siwą głowę złożył;
„Stróżem Podola“ nazwał go lud cały,
Gdy legł — to śmiercią, uszył on Koronie
Czarną sukienkę — i po jego zgonie
Dziwki na Rusi tańców zaniechały.

Otóż to o nim powieść stara chodzi:
Że raz gdy wojsko na stepach postawił,
Chcąc dotrzeć twardo — czy liczny wróg godzi,
Sam na podsłuchy pod noc się wyprawił,
I z jednym tylko giermkim ważył życie,
A całą ordę do koła objechał,
I do obozu powracał o świcie,
Kończąc pacierze — i rad się uśmiechał.

Starsi czekali powrotu pańskiego;
Lecz choć im nie dał rozkazu żadnego,

Nikt się z czeladzi nawet nie zatrwożył,
Widząc że Hetman przespać się położył.

Usnął — a giermek wnijsie od namiotu
Zasuł oponą — a choć nikt nie cichał,
Tak cicho było jakby człek nie dychał,
Że jak ptak leciał toś dosłyszał lotu.

Było to w lipcu, właśnie pod czas roju,
Słońce podbiegło i stało wysoko,
Kiedy Pan Hetman przetaił ze snu oko,
Tak twardo usnął po rycérskim znoju,
I byłby jeszcze spał, bo się utrudził,
Ale brzęk roju, co minął w polocie
Cały nasz obóz, ze snu go obudził,
Bo opadł prawie na pańskim namiocie.

„Gdzie to już słońce! a co powie włodarz?
— Rzecz Pan Hetman — zły ze mnie gospodarz
Gdy mnie rój budzi. Czas poprawić cnoty:
Zagiął rękawy, i pełen ochoty,
Niby pasiecznik, wziął się do roboty;
I zgarnął muchę, i z lekka podkadził,
I w braku ula w pancerzu osadził,
I dziewięć było szyszaków téj muchy;

I wszystek Naród nabrał ztąd otuchy,
 Że Bóg rój spuścił na namiot Hetmana,
 Że żadne żądło nie dotknęło Pana.
 Jakoż Bóg szczęścił, i była wygrana.

Choć bez pancerza, Hetman wroga pobił!
 Aż gdy w też miejsca znowu wojsko sprawił,
 Stał ul żelazny tak jak go postawił,
 A rój był pięknie już głowę zarobił,

„Więc dobra wróżba! — Pan Hetman powiada, —
 Niechże dar Boży w stepie nie przepada.“
 I kazał naprzód cały jar poświęcić,
 A potem czeladź do pracy zachęcić.
 Usypał groblę, i stawek wyprawił,
 I ściągnął ludzi, i młynek postawił,
 Ogrodził futor, i okopał wałem,
 Opatrzył bydłem; ot i owo zgoła
 Odsypał kopce na stepie do koła.
 Spisał przywilój, i z dobytkiem całym
 Oddał na własność rycérskiemu człeku,
 Co się był dobrze ojczyźnie zasłużył,
 By w tym futorze dokonał już wieku,
 I zdał go w ów czas dopiero potomnie,
 Gdy już nie będzie więcej granic stróżył —
 Tak to się dostał w końcu futor do mnie.

W tém samém miejscu, gdzie onego czasu
 Stał ul żelazny, dziś się pszczoła roi,
 W tém samém miejscu, gdzie mój namiot stoi,
 Stał i hetmański namiot pośród lasu:
 I w téj pustyńce od owéj pamięci
 Święty Onufry błogosławi wodzie,
 I co rok woda w tym zdroju się święci,
 I słynie odtąd łaskami w Narodzie.
 „Żelaznym ulem“ jest ten futor zwany,
 A ów ul sławny — jak to każdy powie —
 U Karmelitów był jeszcze chowany,
 Za czasów króla Jana w Berdyczowie;
 Król Jan dopiero zabrał ten ul z sobą,
 I w pańskiej Żółkwi był skarbeca ozdoba.
 A wszystkie sławne pasieki do koła,
 Z tego to roju poszły po futorach,
 I po słobodach, i po pańskich dworach;
 A wielką sławę ma — „hetmańska pszczoła.“

Nigdy nie spadnie, jak inne pasieki,
 Lecz w łasce Bożej przetrwa na wiek wieki,
 Byleby tylko człek nie był zachłanny
 Co je choduje — a początek wzięty
 Był z trzech pni tylko — na cześć Trójcy Świętój,
 A światło dane do Najświętszej Panny;
 To się i wiedzie, i jest i pożytek,
 Więcej niż potrzeb i prawie nad zbytek,

I na przednowek i sobie i komu,
I dla kościoła i ludzi i domu.“

W ciszy słuchało starca całe grono,
I żadne słowo w kole nie przepadło . . .
A w tém i słońce za dąbrową siadło,
I przed namiotem zorzę otrąbiono,
I niebo zwolna już ku gwiazdom bladło.

Z dala się ozwał głos przeciągły, cichy,
I biegł po rosie cudownym urokiem,
Dalej chór cały — czasem jakieś śmiechy:
To ludzie z pola powracali mrokiem.

Ksiązę co nie znał jeszcze Ukrainy,
Spytał Mohorta: „Czemuż nocą smutno?“ —
A Mohort na to: „Smutne zwykle syny,
Kędy ojcowie wiek przeżyli butno!
Smutne to pieśni, a smutne bo stare,
Bo jako zmory żyją w ludzie całym;
A stara piosnka albo jest kordyałem,
Lub stanie sercu na wieki za karę.
Znam ja te pieśni, co po mroku płyną!“
I tu głos jego złączył się z drużyną:
„Kto na Krymu ne buwau,
Perekopu ne wydau! —“

IV.

Tyle to zdrowia, ah i szczęścia tyle,
Co dadzą człeku ranne życia chwile!
I takie były te ostatnie czasy
Na Ukrainie, mój wojskowej służby,
Zanim na niebie znaki lichéj wróżby
Zapowiedziały ostatnie zapasy . . .

Rzecz niepojęta — lecz wielkie wypadki
Poprzedza zawsze Narodu przecucie.
Jak wśród tysiąca rozeznasz głos matki,
Jako treść pieśni poznasz po jój nócie,
Tak po przecuciu poznasz co cię czeka,
I że stanowcza chwila niedaleka.

Głuche powieści obiegały w tłumie,
Które pojmować rozum ledwo umie,

A gdy je zwolna nie jeden duch badał,
 Dziwny niepokój umysły owładał:
 Bo straszne jakieś dochodziły słuchy,
 Że się w mogiłach niepokoją duchy,
 Że w węglach domów coś strzela i brzęczy,
 Że nawet ziemia w czystym stepie jęczy,
 Że krew w krynicznej wodzie nawet bywa,
 Że się w kościołach zapadają groby,
 Że chodzą z dawna umarłe osoby,
 A pies się w nocy jak szalony zrywa.

Jakiś koń dziki, co żywą krwią pryskał
 We dnie — a w nocy żarem z nozdrzy ciskał,
 Obiegał stada jak zwiastun złowrogi ...
 A nie raz nawet i w chorągwi naszej
 Tak razem we śnie coś wszystkich przestraszy,
 Że koń i człowiek zrywa się na nogi.
 A więc do straży! a straż stoi blada,
 I od przestachu ledwo mową włada,
 I klnie się Bogiem, że jasność niezmierna
 Oblała ziemię, jak ziemia obszerne,
 A na niebiosach zeszła niebios Pani,
 Że ziemia pękła, a z wielkiej otchłani
 Wyszły na sam przód ogniste języki,
 A w ślad ich zbrojnych wojowników szyki.

Ot krótko mówiąc: coś strasznie się plotło,
 I nocą groził kometa swą miotłą,

A kiedy zmory rozpędziło słońce,
 Lecieli drogą do obozu gońce,
 I to rozkazy nowe ze stolicy,
 To nowe wieści biegły z okolicy ...

Każdy to widział że przyjdzie do wojny,
 Z której nie łatwo będzie nam wyjść cało;
 Lecz czém na większą burzę się zbierało,
 Tém więcej bywał Pan Mohort spokojny.

Pozór wojenny przybrał obóz cały,
 I młody żołnierz nabiérał postawy,
 Bo co dzień nowe wieści obiegały,
 Że całe wojsko ruszy do Warszawy.
 Krésy ściągnięto — piechotne komendy
 I artylerya stała pod Braclawiem;
 A więc się znaczył i nam marsz tamtędy,
 I każdy wiedział że krótko zabawiem,
 I że z Braclawia ruszym prosto w pole.

Ksiażę Mohorta mianował Obożnym,
 I niby Hetman we dnie okiem groźnym
 Po okolicy i po wojsku wodził,
 A jak duch nocą po obozie chodził.

Ja byłem w ow czas dany mu do boku,
I wierny świadek każdego już kroku,
Bo i sypiałem i jadałem razem,
I nic z tych czasów nie puściłem płazem.

Dni już ostatnich przed naszym pochodem,
Wstał był Pan Mohort swym zwyczajem rano,
Ale miał wielce twarz zafrasowaną;
A gdym o powód spytał mimochodem,
Rzekł mi: — „Pan Hetman śnił mi się nad ranem.
Hetman — śmierć pewna rycérskiemu człeku;
Ha, czas ze świata, bo téż już i z wieku.
A jak na jawie mówiłem z Hetmanem,
I oczywiście że mnie sam nawiedził —
Więc już nie długo będę się tu biedził;
I nie stąd pełen jest mój duch frasunku,
Ale że może potrzebny ratunku...”

Uczułem zimno gdy mnie tknął buława,
Gdy mi pokłonił i dał rękę prawą...
„Hetman, śmierć pewna — i nie ujdzie płazem;
Więc czas się przybrać i pojednać z Bogiem,
Bo sen poranny, to śmierć już za progiem;
Do monastéru pojedziem dziś razem.”

I gdy do stajni wstąpiliśmy oba,
Tylko Mohorta leżał koń u żłoba.

A więc podumał — „I on się gotuje;
Patrz Wasze, zgadłem, i kon drogę czuje....“

I gdy pacholek konie pokulbaczył,
Na przełaj stepem ruszyliśmy oba,
Ale Pan Mohort przemówić nie raczył,
Tak czarna serce zjęła mu żałoba:
I tylko milcząc w świat poglądał czasem,
Lub wstrzymał trochę konia przy mogile,
Albo zsiadł z konia i wytchnął na chwilę,
Gdyśmy stanęli pod strażniczym lasem.

Kiedy nareszcie błysnął nam z daleka
Krzyż monastéru, wśród świętego gaju,
Rzekł: — „Czy wiesz Wasze co tu Waści czeka?
Będziesz za świadka — po starym zwyczaju;
Trzeba zakończyć pocziwie i ładnie,
Jak Bóg przykazał, to ziemskie kalécwo;
Więc bacznosc, pamięć Waści mieć wypadnie,
Bo może przyjdzie kiedyś dać świadectwo.”

I jakoż ledwo że stanął w klasztorze,
Kazał przywołać z monastéru dziada,
I Łukowskiego bliskiego sąsiada,
Co od pół wieku siedział na futorze,

I razem poszli do lochów cerkiewnych.
I szmer się rozszedł — że Mohort te kraje
Pewno już rzuci, kiedy skarby zdaje,
Gdy wziął do lochów takich ludzi pewnych.

Mnie kazał spisać wszystko co miał w celi,
A własną ręką dodał już, co komu...
Potém z Łukowskim obaśmy musieli
Stwierdzić kodycył — a potém do domu
Wyprawił obu — a więc naprzód dziada,
By go nikt z ludzi klasztornych nie badał,
Potém do fórty sprowadził sąsiada,
A ciepłą ręką obom coś powkładał.

Gdyśmy od fórty razem powrócili,
Rzekł mi wesoło po niejakić chwili:
„I Waś nie wyjdiesz z rękoma gołemi;
Więc wybierz szablę, która się podoba,
Bo się to nada bardzo czasy temi,
I trzeba będzie z konikiem od złoba!“
Wybrałem,

Dobra! wiernie w ręku siedzi.
Rzekł mi Pan Mohort: — „a teraz już pono
Czas do jutrzejszćj mieć się nam spowiedzi,
Bo na pacierze właśnie zadzwoniono.“

Cicho upłynął wieczór w naszej celi,
Lampa mrugała przed świętym obrazem,
Psalmu pokutne mówiliśmy razem,
I dzisiaj jeszcze duszę mą weseli
Piękna pamiątka takić chwili świętćj,
Gdzie jego duchem byłem w niebo wzięty.

Cicho noc zeszła — a nazajutrz rano
Mszę miał żałobną za duszę Hetmana
Naprzód ksiądz Rektor — a po mszy żałobnćj
Wyszła wotywa w kaplicy osobnćj;
Pan Mohort ukląkł — odpiął karabełę,
Złożył wraz z czapką na stopniach ołtarza,
A sam padł krzyżem że aż w grobach jęknęło.
Choć dzień powszedni, ludzi było wiele,
A wszystkim serce tak od płaczu miękło,
Że nawet kapłan — co się rzadko zdarza —
Gdy się do ludzi zwrócił od ołtarza,
Łzami się zalał.

W końcu po wotywie,
I księża poszli, i lud się rozbieżał,
A Mohort ciągle krzyżem jeszcze leżał.
Widząc to Rektor, skinął niecierpliwie
Na mnie, i bliższych dwóch cerkiewnych braci,
I gdyśmy starca dźwignęli z podłogi,

Widoczne było że przytomność traci,
Bo mu już ledwo statkowały nogi.

Rektor wziął szablę ze stopni ołtarza,
Nasadził czapkę Panu Mohortowi,
I kazał z sobą iść do refektarza;
Tam podał winną polówkę starcowi,
I otarł pulsa, i skronie, i czoło...
A gdy Pan Mohort spojrzał znów wesoło
Po refektarzu — kiedy nam dziękował,
Rektor w refleksye:

„A Panie Szymonie!
Za cóż tak bardzo duch się upracował?
Wszak Waś najstarszy w Litwie i w Koronie,
I cały żywot za pokutę stanie;
A wszakże mówim i to dnia każdego
Modląc się Panu: — Od nieporządnego
W nieszczęściach smutku, zachowaj nas
Panie!

A i Psalm mówi: — Nie usprawiedliwi
Nikt się przed Panem z tych co jedno żywi!
Co to tam myśleć, Panie Poruczniku!
Po co tu, po co kusić Panem Bogiem,
Czasby odpocząć już w swoim kąciку,
I z przyjaciółmi zostać za tym progiem.

Zkąd myśl téj wojny — niech wojują młodzi,
A coś przyjaźni i Bogu się godzi.“
Więc Mohort na to: — „A to być nie może,
Jam niepotrzebny człowiek jest w klasztorze,
Bo ja ojczyźnie łaski nie uproszę,
Ja Boga chwale, kiedy szablę noszę.“

Rektor do ręki — „Ja upraszam Pana,
A Mohort upadł przed nim na kolana:
„Mój Ihumenie! o Boże mój, Boże!
Jegomość płaczesz. Czyż mi łez potrzeba?
Ta, coby po mnie zapłakała może,
Z niej ni kosteczki — toć na miłość nieba
Zaklinam Waszmość, nie płacz, bo to boli,
O i nie probuj Waszmość mojej woli
Łzami kapłana, bom człowiek ułomny,
Ale gdy legnę bądź na duszę pomny!“
Rektor go podniósł:

„Nie, Mości Rektorze!
Mnie nie na łożu kończyć i w klasztorze;
Kto czém wojował, niech od tego ginie!
Od krzyża swego nikt się nie wyprosi;
Dla mnie czas wielki — na złe się zanosi....

Przez całe życie prosiłem jedynie
O śmierć szczęśliwą — i wysłuchać raczył

Pan mojej prośby — Hetman mnie nawidził,
Wiem jaki koniec Bóg dla mnie przeznaczył,
I już nie długo będę się tu biedził....“

Widząc ksiądz Rektor, że próżne namowy,
Poccił nareszcie wolę siwej głowy,
I do drzwi samych tylko odprowadził;
A w celi Mohort już się w drogę ładził.
Kiedy był gotów, przykląkł przed obrazem,
I jeszcze stoczek u lampy zapalił,
Święconą wodę podał mi u proga,
I rzekł spokojnie: — „Będzie tutaj Boga
Jeszcze i po nas wszelaki duch chwalił;
A teraz bracie wychodzmy już razem,
Dla ciebie pierwsza, mnie ostatnia droga.“

I zamknął celę, klucz za listwę schował,
Zdjął sygnet z palca, drzwi opieczętował,
I poszedł ze mną razem do ogrodu.

Tu stał dąb stary u samego wchodu,
A obok niego kapliczka nad źródłem...
Mohort podumał i pokiwał głową,
I rzekł do dębu: — Stój mój druhu zdrowo.
A i ty wodo upływaj pokojem;

Ja już ostatni raz tu z wami bawię,
Lecz jak mnie Pan Bóg, ja wam błogosławię.

Gdym tu raz pierwszy stanął — byłem młody,
Lecz po ucisku i ciężkiej chorobie,
I nie wiedziałem co sam z sobą zrobię;
Lecz gdym się napił z tego źródła wody,
I tu pomodlił w tego drzewa cieniu,
Natchnął Bóg łaską, i w owém natchnieniu,
Na żywot cały znalazłem już radę;
Więc poję konia, i siadam, i jadę.

W tém mi Ihumen zabiegł zagnała drogę,
I rzekł z ludzkością: — „Ja puścić nie mogę,
Dom nasz, to stara gospoda rycérzy,
A już i słońce do spoczynku bieży,
To się téż godzi przyjąć tu gospodę,
A już na krésy sam jutro wywiode. —“
Więc zsiadłem z konia, i w téj samej celi
Jam się noc pierwszą w ów czas przenocował,
W której mnie później tyle lat Bóg chował...
I odtąd tutaj zwykłem się spowiadał,
I tum szlachecki moj depozyt składał.

Dawno przed Bogiem, starzy przyjaciele,
Którzy zaznali tych związków początek,

I przeminęło w świecie rzeczy wiele,
Lecz dla mnie wiecznie pamiętny ten kątek,
Bo tu znalazłem bezpieczną ostoję,
Za którą odtąd dziękowałem co dnia
Bogu, co bierze na Opatrzność swoją
Biędną sierotę, wdowę i przychodnia

I Pan posadził mnie na równej ziemi
I dał przyjaciół pomiędzy obcymi.

Nigdy do związków w kraju się nie łączył,
Bo światem wicherzyć nie rozumiem cnotą!
I zawszem Boga prosił tylko o to,
Bym tak jak zaczął, przy chorągwi kończył;
Bo wojskowemu służba rzecz najzdrowsza.
Jeszcze te związki przeciwko obcemu!..
Lecz jak nastała już praktyka nowsza,
Że związek stawał w brew królowi swemu,
To już tę sprawę niech sam Pan Bóg sędzi,
I pono tylko w służbie człek nie zbłądzi!

Raz tylko w życiu z granicy ustąpił,
Ale nie prze to abym krwi mój skąpił,
Tylko, bom nie chciał przelewać krwi bratniej;
Kiedy już przyszło do hańby ostatniej,

Przetrwałem wojnę, związki i napaści,
I głód i dżumę, trzymając się właści;
Ale za krzywdy i za grzechy stare
Nową Pan zesłał na tę ziemię karę.

W chorągwi ludzi na rożenek prawie,
A tu step kipi czernią zbuntowaną...
I z siwą głową popaść téj niesławie,
By z nożem walczyć szablą poświęcaną,
To dopust ciężki! i na pokuszenie
Nie wódz nas Panie! Krew, to rzecz kosztowna,
A już krew bratnią w wielkiej Bóg ma cenie.

Stannica była porządnie warowna...
Więc rzekłem krótko towarzystwu memu:
I stać, i czekać, służba po staremu.

Bunt się po kraju rozszerzał tymczasem...
A w tém ksiądz Rektor znagła znać mi daje,
Że na monastér jakaś czerni nastaje,
I obozuje pod pobliskim lasem!
Za to że przyjaźń dobrą z Lachy chowa,
Ma oddać srebra! — A więc dzięki Bogu,
Że nie w obronie własnej padnie głowa,
Lecz że ją złożym na święconym progu,

Rzekłem do wiary; i nocy téj saméj
 Stanałem jeszcze u klasztornej bramy.
 Struchlał ksiądz Rektor — bo jużciż sądzono,
 Że na monastér idą hajdamaki;
 Lecz gdy poznano i ludzi i znaki,
 To w mgnieniu oka bramy otworzono.
 Nim się dzień zrobił tak się poczt mój sprawił,
 Że klasztor w stanie obrony postawił;
 Były armatki, moździerze, i prochy,
 I dość żywności i niepróżne lochy.

O samym brzasku przybył Pan Łukowski,
 Co zebrał szlachtę, i w pędce uzbroił;
 A więc tym strojem, przy pomocy Boskiej,
 Poczt nasz do razu prawie się podwoił.

Otóż zatknąłem sztandar w dobrej wierze,
 O wschodzie słońca, na owéj wieżycy,
 I otrąbiłem pieśń Boga-Rodzicy;
 Jako sodalis, rycerskie pacierze
 Zmówiłem razem z klasztorną załogą,
 I sam na bramie wziąłem stanowisko.

Patrzę — aż jadą jacyś ludzie drogą...
 Gdy podjechali już pod mury blisko,

Kazałem spytać czego im potrzeba;
 A oni rzekli — „i soli i chleba!“
 Więc jakieś posły — kazałem otworzyć,
 Zawiazać oczy, i wziąć w fórtkę ciemną;
 Z razu się jeli niby trochę trwożyć;
 Lecz gdy sam na sam ujrzeli się ze mną,
 Nabrali serca, i mówią mi w oczy:
 Że się krew lacka po ich nożu toczy,
 Że się ksiądz Rektor ma w obozie sprawić,
 I wszystko srebro i miody dostawić;
 A gdyby w murach znalazł się Lach jaki,
 To naprzód oddać ma wojenne znaki,
 I z niemi pieszo iść do Atamana;
 Inaczéj lichy z monasterem będzie,
 I nie dostoi już do jutra rana,
 Bo hajdamaki wzięli gorę wszędzie.

Rzekłem więc krótko księdzu Rektorowi:
 „Kto gospodarzem, niech ten tu stanowi.
 Gdyby to miało monastér ocalić,
 To ja się mogę z komendą oddalić,
 I sam się spotkam z tą czernią na szlaku,
 A tu wpaść nie dam, i nie wydam znaku!“

Lecz się ksiądz Rektor nie wahał i chwili.
 „Ja miałbym zdradzić? a Święty Bazyli!

Ja głowę oddam, a duszy nie zdradzę,
Siebie i klasztor oddaje pod władzę,
I przy tym znaku, i przed tym obrazem
Brońmy się razem, albo gińmy razem.“

— „Więc dosyć! rzekłem — kiedy taka wola,
To w Imię Pana mojego i Króla,
I Najjaśniejszej Rzeczypospolitej,
Którój znak stoi na tej twierdzy wbity,
Sądem hetmańskim już odtąd stanowią
O bezpieczeństwie załogi, i głowie.“

Więc się już same osądziło bractwo:
Rabunek świątyni, jawne świętokradztwo.
Więc trzech na gardle skarać rozkazałem,
A już czwartego w powrót odesłałem,
Aby poselstwo do czerni odprawił. —
Skoro w obozie na powrót się stawił,
Tysiącem wilków zawył obóz cały;
A potem w niebo tumany się wzbiły,
I przypuszczono do nas atak śmiały,
Do bram klasztornych zbiwszy wszystkie siły.

Ha, jużciż łatwiej było ich bić w kupie,
Stojąc za murem, gdy oślep lecieli;

Ale nie wiele brakło że nie wzięli
Obronnej bramy, po swym własnym trupie.

Po trzech atakach porządnie odparci,
Zawyli wściekle, i znikli jak czarci.
Więc trupy naprzód kazałem pochować,
I do obrony nowój się gotować;
Bo dochodziły nas pono nie bajki,
Że hajdamackie zbierają się szajki,
I zamysłają na klasztor uderzyć;
Więc wypadało się w czujności dzierżyć.

Jakoż zbliżały się znowu rozruchy,
I podchodziły dziady na podsłuchy,
I z każdą nocą zwiększała się trwoga;
Jednak gdy Pan Bóg chce człeka ocalić,
Nawet poganin umie się uzalić
Nad obcą wiarą, i pocze sąd Boga.

Jakieś się wojsko pomknęło po drodze,
Więc do obrony dałem znak załodze;
Wojsko porządne — więc pono nie kruki?
A w tém poznałem tatarskie buńczuki.

Poznałem Murzę, sąsiada po koniu ...
Zatrzymał ludzi opodał na błoniu,

I wysłał posła — więc pono nie zdrada?
 Puściłem posła, a on mi powiada:
 Że Murza słysząc o opressyi mojej,
 Jak sprzymierzeniec porzucił swę raje,
 I w pogotowiu ku odsieczu stoi,
 I wojsko w zaciąg Królowi oddaje.

Prawda, zem chował z Murzą przyjaźń starą,
 Bo choć poganin kochał spradwidliwe;
 Lecz nie poskromić buntów własną wiarą?
 I pogan ściągać na swą własną niwę?
 To mi się przecie jakoś nie zdawało ...
 Jeżeli Bóg zechce, i tak wyjdziem cało!

Podziękowałem tedy za przymierze,
 A miałem spory turecki puharek;
 Więc pełen złota dałem na podarek,
 I konia z rzędem, i szablę sadzoną.
 Przyjął to wszystko Murza w dobrą wierzę.
 A gdy na oścież bramę otworzono,
 Samotrzec tylko podjechał do bramy,
 I w odwet złożył sztukę drogiej lamy,
 I sztukę złota za ostrze mi płaci,
 Jako jest zwyczaj, nikt szabli nie bierze,
 Kiedy się sercem na prawdę już braci.
 Więc i jam w takie uwierzył przymierze,

A ksiądz Ihumen rad z téj całej sprawy,
 Dał sto baranów Tatarom odprawy.

Cóż na to mówić? Chłopstwo na swawolę
 Szatan rozpasał — a bisurmanowi
 Pod czas przygodny dał Bóg taką wolę,
 Że nie zwykł dawać lepszej rycérzowi.

W koło czychały hajdamackie szpiegi ...
 Kiedy więc Murza przywiódł swe szeregi,
 Sądziło bractwo że zawarł przymierze,
 I pogranicze pod swój puklerz bierze.
 Jakoż — choć Murzę nikt o to nie prosił,
 Sojusz z Koroną przez posły ogłosił,
 I zajął krésy, i póty stał wiernie,
 Aż Bóg poskromił i ukarał czernię.

Nim Pan Stępkowski upacyfikował
 Bunt niepotrzebny — jam był już w stannicy;
 I po staremu stałem na granicy,
 I mą chorągiew tylko Bóg salwował.

Świadkiem tych czasów jeno dąb i źródło:
 Lecz dotąd wielbię miłosierdzie Boże

Wdzięcznością w sercu nigdy niewychłódfa,
 Że nas nie dało na hańbę i noże!....“

Tu oko starca na krynicę padło,
 I długo w źródło patrzył, jak w zwierciadło,
 I z biegiem wody poglądał na strugę;
 Zdjął sygnet z ręki, i rzekł zadumany:
 „Oto mój klejnot od rodzica dany,
 I już ostatnią oddał mi posługę,
 I wszystko przeszło — jak to źródło bieży,
 I cały żywot już za mną dziś leży!....“

Ostatni z rodu, komuż go zostawię?
 I komuż z duszy tak pobłogosławię,
 Jako mnie ojciec niegdyś błogosławił?...

Więc tobie ziemio! ty arko miłości,
 Co wiernie trzymasz miłosierdzia klucze!
 I tobie dębie! coś w prostej wielkości
 Szmerem swych liści wielkość Pana sławił...
 A już ten sygnet niech wiecznie zdrój płóczy!....“

I rzucił sygnet w sam środek krynicy,
 I iza ostatnia błysła na zrzenicy

Na Anioł-Pański zadzwoniono z wieży;
 Więc kędy w grobach legło koło bratnie,
 Udał się jeszcze na modły ostatnie,
 I do ostatniej zasiadł już wieczerzy

Modlitwą zaczął, i modlitwą skończył,
 Ostatek miodu w puhary wysączył,
 I powstał nagle — „To już do strzemia!“
 I podniósł oczy — „Tam, do zobaczenia!“

A potem burkę zarzucił na kurtę,
 I krzyknął nagle: — „Hej! konia przed furtę!“
 I jednym rzutem wsunął się na siodło,
 Jakby go bardzo coś w sercu ubodło.

„Bądźcie tu zdrowi, i ostajcie z Bogiem!
 Już ja nie stanę więcej za tym progiem!“

I ścisnął konia, i kopnął się cwałem,
 Że się dopiero za bramą zrównałem.

V.

Śliczny był wieczór, cichy i pogodny,
I miesiąc zeszedł, i stopy oświecał,
Konie szły rażno, pośród nocy chłodnej,
Czasem się w polach ogień gdzieś rozniecał;
Czasem w przelocie ozwały się ptaki...
A Mohort drogę prostował na szlaki,
I milcząc jechał, patrząc w twarz miesiąca,
Aż w końcu słowa wycisła tęsknota:

„Ostatni świadek mojego żywota,
A jeszcze wiernie świeci mi do końca! —
Gdzież to te czasy? gdzie w nieznane progi
Tak samom jechał do mojej niebogi?

Prawie w ostatniej potrzebie z Szwedami
Poległ wśród boju, Pan Miecznik Różański,

A że miał wielki mir pomiędzy nami,
Otóż stanęło na radzie hetmańskiej,
Ażeby ciało odwieźć w jego progi,
I z asystencyą oddać jego wdowie.

„Waś będziesz czynił,” Pan Hetman mi powie,
I wydasz ciało sam w ręce niebogi,
I w mém imieniu będziesz na pogrzebie,
I od rycerstwa wyrządzisz pocziwość;
Ja z kondolencyą dam listy od siebie,
Boć względ mieć trzeba na niewieścią tkliwość,
I na zasługi poległego w boju;
Niechaj nam z Bogiem spoczywa w pokoju.“

I tak się stało — że z pocztą osobnym
Ruszyłem prosto, z konduktem żałobnym
Z pobojuwiska — wszystko to zabrawszy
Co po Mieczniku było pozostało.

W pierwszym miasteczku trumnę zrobić dawszy,
Złożyć kazałem na rydwanie ciało,
I księży wzięwszy z pierwszego klasztoru,
Jechałem wolno do wdowiego dworu....

Miesiąc w téj drodze świecił mi tak samo,
Aż w końcu stanął przed klasztorną bramą,

Gdziem Przeorowi całą rzecz otworzył,
I nieboszczyka tymczasowo złożył.

W sąsiedztwie mieszkał, Pan Wojski Proszczycki
Pobliski krewny Starościny Lidzkiej,
Więc wypadało go naprzód nawiedzić,
I o nieszczęściu rodziny uprzedzić.

Z boleścią przyjął on moje poselstwo,
Bo go łączyło wielkie przyjacielstwo
Oprócz krewieństwa: od chłopiat z Miecznikiem
Długo służyli razem z nieboszczykiem
W jednej chorągwi, — oba w jednym roku
Pojęli żony, — w sąsiedztwie osiedli,
I wspólny żywot niby bracia wiedli,
I wspólnych mieli przyjaciół u boku.

Kiedym zajechał — Wojski w ganku siedział,
I rzecz zrozumiał, nawet bez słów wiele,
I ciężko spłakał, kiedy się dowiedział
O owęj śmierci swego przyjaciela;
Ale boleści nie folgował marniej,
Ukląkł i zmówił: wieczny odpoczynek;
Potém wstał — włożył na się żupan czarny,
I rzekł mi krótko: — „Jedźmy do Malinek:
Smutne poselstwo trzeba odnieść wdowie.“

Dwór Miecznikowej stał w pięknej dąbrowie,
Od wsi Wojskiego ledwo o pół mili...
Ksiądz Przeor znacznie wyprzedził nas rankiem,
I był już naszą bytność zapowiedział;
A więc dwór cały czekał nas pod gankiem,
I o nieszczęściu dom już cały wiedział.

Gdyśmy nareszcie stanęli przed Panią,
Nikt z nas przemówić nie śmiał ani słowa,
Ale i oczy złego posła ranią;
Nieboga swoje nieszczęście odgadła,
I rzekła mężnie: — „Czuję to żem wdowa!“
A śliczna córka jak kalina zbladła,
I u stóp matki bez duszy upadła.

Zbiegł się fraucymer. — „Na ustęp Panowie!“
Rzekł nam Pan Wojski — i tylko z Przeorem
Zostali oba przy córce i wdowie;
I obiem ujrzał dopiero wieczorem....

Nazajutrz bliżsi zjechali sąsiedzi;
Przeor miał lektę w żałobnym ornacie.
Kirem odziana Pani po swęj stracie,
Według zwyczaju z całym swoim dworem,
O świecie jeszcze była u spowiedzi.

A po mszy świętej z Wojskim i Przeorem
 Złożyłem radę — jakby uroczysty
 Kondukt odprawić, i akt ten ogłosić,
 I województwo całe ściągnąć listy,
 I na żałobny chleb wszystkich zaprosić.
 Więc naprzód Przeor wysłał zaprosiny,
 I do kollegiat i dalszych klasztorów;
 Pan Wojski znowu, w imieniu rodziny,
 Obesłał listy do zamków i dworów;
 A ja nareszcie, ordynans Hetmana,
 Jak mi był dany od mojego Pana,
 Po województwie obwiozłem do koła,
 Rzecząc poczynając porządnie od czoła;
 Więc od samego Pana Wojewody,
 Aż do ostatniej szlacheckiej zagrody.

Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany:
 Każdy towarzysz miał po dwóch pocztowych,
 Każdy wypoczął, był dobrze ubrany,
 A wszystka szlachta na koniach harcowych,
 Więc co się zowie było okazale;
 Gdy poczt mój sprawił i stanął na czole,
 Pan Wojewoda wyruszył wspaniale,
 Także na koniu, bo w rycérskim kole;
 I towarzystwa grzecznego nie mało
 Nawet z ziem dalszych na zaciąg zjechało.

Wspaniały rydwan ruszył od klasztoru,
 I śpiew się ozwał w dłuż wielkiego chóru,
 Znać że do grobu wieziono rycérza;
 Bo za rydwanem stapał koń Miecznika,
 Chorągwie szwedzkie na krzyż u puklerza,
 A obok trumny zbroja nieboszczyka

Stu księży mszalnych, dwanaście klasztorów,
 I ksiądz Sufragan exportował ciało;
 A za konduktem, z okolicznych dworów
 Tak wiele kolas i bryczek jechało,
 Że czoło blisko już wdowiego dworu,
 A koniec ledwo wyruszył z klasztoru.

Przed wioską tedy zatrzymałem czoło,
 I cały kondukt ściągnął się na błonię;
 Do koła trumny zatoczono koło,
 I tylko poczt mój pozostał na koniu.

Przed dworem na krzyż schodziły się drogi,
 I kondukt stanął przed bramą niebogi,
 Co z dworu wyszła na smutne spotkanie
 Powitać zwłoki męża na rydwanie.

Obok niej córa po nad matką zgięta,
 Niby to lilija albo jaka święta,

Obie w zakonnym stroju otulone,
I smutnym dworem w koło otoczone.

Koń mi się ciskał jak odyniec ranny,
A tu przemówić z konia wypadało;
A więc westchnąłem do Najświętszej Panny:
„Ratuj mnie Pani!“ i tak też się stało,
Bo mi włożyła w usta wdzięczne słowo,
A koń stał wryty, gdym stanął przed wdową.

Jam nie orator! — Łzą mi zaszło oko —
Ale w prostocie człowiek Boga chwali!
A kiedy sięgnie do duszy głęboko,
I nad niedolą ludzką się uzali,
To z serca płyną słowa nieuczone,
A z oczu bliźnich łzy nieutulone.

O jam nie retor! lecz przy łasce Bożej,
Jam Sakramentów w sobie nie zatracił!
A jak człek rękę do serca przyłoży
I w krwi poczuje: z czém i z kim się bracił?
To na Hetmana dusza mu urasta,
I godzien nawet przemówić — w kościele,
A w boju stanąć — na rycerstwa czele,
A w grobie legnąć — nawet obok Piasta.

Com w ów czas mówił, powtórzyć nie umiem,
Bo w ów czas nawet nie znałem, com prawił
W afekcie duszy — ale tak rozumiem,
Żem rozkaz Pana mego dobrze sprawił!

Wiem tylko tyle, żem począł od Boga,
I od ojczyzny, i od krwi pocziwój,
Co jak orlica uderza na wroga,
Kiedy jój gniazda dotknie gad zelżywy;
A gdym nareszcie złożył w ręce wdowy
I pierścień ślubny i sygnet herbowy
I relikwiarzyk, co na piersi nosił,
Oddałem córce, jak sam o to prosił —
Gdym spojrział na nią, a ona mnie w oczy,
A tu się perła po jagodach toczy,
I jakaś światłość od jój obliczności
Padła mi w duszę — to już od żałości
Nie mogłem więcej wymówić i słowa,
I tak się na tém skończyła ta mowa.
Przez trzy dni całe trwał akt pogrzebowy,
Msze się prawily, exorty i mowy,
A dnia pierwszego exportacya była,
A dnia drugiego wzniosła się mogiła,
A dnia trzeciego exekwie prawiono,
I przed północą stypę zakończono;
I jaki taki kiedy łzę osuszył,
Pożegnał wdowę, i odjechał w ciszy.

A gdy do domu Wojewoda ruszył,
 I jam odpuścił moich towarzyszy,
 Bo też już było po szwedzkiej potrzebie,
 Więc rad też każdy powracał do siebie.
 Sam zaś zostałem, i z wielką ochotą,
 Bo matka z córą prosiły mnie o to.
 A gdy już miesiąc był prawie upłynął,
 I żal co większy już nieco przeminał,
 Poczęto pytać o wszystkie wypadki
 Szwedzkiej potrzeby — i chwile ostatnie
 Pana Miecznika — a choć człek był gładki,
 Nie raz się splątał jakby popadł w matnie.
 Gdy przyszło mówić o takiej boleści,
 I wytrwać mężnie w obec łzy niewieściej,
 Bo choć się obie łez jak grzechu strzegły,
 Choć Panna Anna znów do krosien siadła,
 A sprawy domu zwykłym trybem biegły,
 To często jeszcze łza na wzory padła.
 I dosłyszałem nie raz stojąc z boku,
 Jak do poufnój rzekła ze łzą w oku:
 „Czy to już późno? czy się dziś tak mroczy,
 Że mi już nie chcą statkować i oczy,
 Że i jedwabów rozeznac nie mogę?“

A ta to niby wyręcza niebogę;
 I kiedy do jej pracy się przysiada,
 To łzę ustyma z oczu jej wykrada.

O biada sercu! i téj głowie biada!
 Bo Panna Anna była mi tak droga,
 Że się tak kochać godzi tylko Boga!
 I możem w życiu za to pokutować,
 Żem taką miłość dla niewiasty chował,
 Jaką człek wierny tylko niebu mierzy,
 Jaka po Bogu ojczyźnie należy...

Sześć niedziel zbiegło mi na wdowim chlebie,
 Jak gdyby jedna godzina gdzieś w niebie,
 I kiedy przyszło w końcu do rozstania,
 Anna nieśmiało przy matce się skłania,
 I tak mi rzecze już na samym progu:
 „Kiedy się, kiedy podobało Bogu,
 Że kądziel tylko zostawił w tym domu,
 To szabli ojca nie ma nosić komu;
 A że jej smutno będzie w tym spoczynku,
 Więc przyjm ją Waszmość proszę w upominku.“
 To też przyjąłem szablę ze łzą w oku,
 I odtąd wiernie noszę ją przy boku...

Tak samo świecił miesiąc, gdym wyjechał,
 I znowum nigdzie nie spoczął w téj drodze...
 Pogoda była, i świat się uśmiechał,
 Lecz myśli moje tylko przy niebodze.

Gdym znowu stanął na dworze Hetmana,
 Rzecz mi Hetman raz pewnego rana:
 „Coś Waś posmutniał mi na wdowim dworze,
 Czy Miecznikówna tak do serca wpadła?
 To Szwed cię nie zjadł, a podwika zjadł!
 No — ja pomogę! — jeżeli Bóg pomoże!“
 I rok sześć niedziel milczeliśmy oba;
 Aż się w Malinkach skończyła żałoba.
 W ów czas dopiero Hetman mi powiada:
 „Mój Poruczniku! jeżeliś nie zmienił
 Dotąd twój myśli — to jechać wypada
 Nam do Malinek, i będę cię żenił!
 Ojca zastąpię, co już leży w grobie,
 Pannie i Waści — i pobłogosławię!
 (A Koszowacki klucz wypuszczam tobie,
 I przenosiny sam Waszmości sprawie.)

Wiernym ty drużbą byłeś mi wśród boju,
 To ja Starostą chcę ci być w pokoju;
 A ufam w sercu że się nie rozłączy
 Taj przyjaźń nasza, chyba ją Pan skończy.“

Do nóg mu padłem nie rzekłszy ni słowa,
 A on mnie podjął i ścisnął mi głowę,
 I rzekł łaskawie: „Wesela połowę
 Mamy już tedy! — pisz Wasze do domu,

Bo gdzie się córą we dworze uchowa,
 Tam jój nie dadzą bez prośby nikomu.
 Znam że się prośba Miecznikowej nada,
 Lecz list od matki Waści mieć wypada
 Do Miecznikowej. — Pan Wojski Proszczycki
 Wszak bliski sąsiad Starościny Lidzkiej;
 Więc niech tam z listem czeka nas posłaniec,
 A na Ostatki — da Bóg — pójdziem w taniec!“

Prawda żem wierny był Panu w potrzebie,
 I służyć miałem do śmierci ochotę...
 Lecz cóż za dusza, co za serce złote,
 Że mi los taki obmyślił u siebie!

Od rezydencji zwyczajnej Hetmana,
 Cztéry dni drogi było do Malinek,
 We wsi Wojskiego stanęliśmy z rana;
 Ale nim jeszcze poszedł na spoczynek,
 Oświadczył Hetman rzecz krótkimi słowy,
 A Wojski przyjął zamysły łaskawie,
 I jako bliski Pani Miecznikowej,
 Przyrzekł nam pomoc życzliwą w téj sprawie.

Nazajutrz przebiegł do Malinek rankiem,
 I przed śniadaniem jeszcze do nas wrócił,

Lecz znać słów parę o zamiarach rzucił,
 Bo tylko Pani witała pod gankiem,
 Gdyśmy pośzóstno w dziedziniec wjechali.
 Najprzód słów parę o Mieczniku padło,
 I westchnień parę z piersi się wykradło,
 A kiedy Pani chciała prosić dalej,
 Rzecz Pan Hetman:

„Kawaler stateczny,
 Ozdoba naszej chorągwi walecznej,
 Porucznik Mohort — prawa ręka w boju,
 A domu mego przyjaciel w pokoju,
 Prosi by wolno było wejść w te progi.“
 A Pani na to — „Od dawna nam drogi!
 Witam i proszę!“ i skłoniła grzecznie,
 A Panu rękę podała statecznie....

Przez trzy dni trwała gościna wesoła,
 Lecz Hetman koni nie kazał wykładać,
 Chcąc się z zamiarów jawnie wypowiadać;
 Ztąd pannęm tylko widywał u stoła.
 Aż dnia czwartego rzekł mi Hetman z rana:
 „Trzy dni tu gościm bez szarnej polówki,
 A więc się skłonić wypada w kolana,
 A jak rozumiem nieodmówią dziewczki;
 Sygnet przezemnie daje Hetmanowa,

Bo lepszą pamięć miała białogłowa
 O tém, co tutaj będzie nam potrzebne.
 Jeżeli Bóg zdarzy zabiegi swadziebne,
 A mnie się uda sprawę z matką ubić,
 To córę zaraz najlepiej poślubić.

Najdzielniej bije serce pod pancerzem:
 Więc wezwij naprzód w pomoc Pana Boga,
 I opnij pancerz jakbyś szedł na wroga,
 Niech i ja czuję że swatam rycérza.

Jeżli Wojskiego przyszlę do Waszeczki,
 Dobry znak będzie — jeżli krzyknę z sali:
 W konia! to siadaj i pojeżdżaj dalej,
 Bo znać nie dla nas szczęście tutaj świeci.“

Nigdy mi serce nie biło tak w boju,
 Jak w owój sali na serdecznej straży;
 A koń przed gankiem rwał się w niepokoju,
 Jakby przeczuwał że mój los się waży.

Wtém wpadł Pan Wojski i krzyknął „wygrana!“
 Pani siedziała w krześle upłakana,
 Obok stał Hetman ku niej nachylony,

Kiedy pan Wojski uchylił opony,
I kiedym zwolna wstąpił na próg sali.

„Do nóg, jak matce!“ rzekł mi Hetman głośno...
I padłem do nóg przejęty do żywa,
A w sercu było mi coś tak żałośno,
Jak pod pancerzem nigdy tam nie bywa.

I Hetman podał list méj rodzicielki,
I list przejrzała z płaczem Miecznikowa,
I rzekła Panu: „Widzę że Bóg wielki!
Co w pieczy swojej i sieroty chowa,
Czuwać nad domem wdowy nie przestaje,
Gdy opiekunów takich Annie daje;
To niech się dzieje wola Jego święta,
Niech Anna przyjdzie.“

Weszła Anna w bieli,
Jako na ziemię zstępują Anieli,
Jakoby z nieba prosto była wzięta....
A matka rzekła:

„Anno! ojciec w grobie,
Pan Hetman, Anno! chce być ojcem tobie,
I o twym losie wraz ze mną stanowi,
I oddasz rękę Panu Mohortowi.“

Zadrżała Anna, i jak lilija zbladła,
I do nóg matki na kobiercu padła.

Potém Pan Wojski pannie błogosławił,
A potém Hetman, — i stała rumiana —
A Hetman rzecze: „Gdy tak Pan Bóg sprawił,
To nim po wieniec schylimy kolana,
I łaskę domu zdołamy zawdzięczyć,
Niech wolno będzie nam pannę zaręczyć.“

„Anno! daj pierścień na wieczyste śluby,“
Rzekła jój matka. — A twarz mojej lubej
Jakieś niebieskie okraśliły wdzięki,
I po raz pierwszy dotknąłem jój ręki,
A kiedym pierścień na rękę jój wkładał,
To biło serce że aż pancerz gadał.

Wieczorem wiele zjechało się gości...
Pan Hetman dodał uczcie wspaniałości,
I akt ogłosił w okazałej mowie,
I w kolój puścił méj bogdanki zdrowie;
A potém póty nie odstąpił matki,
Aż wyznaczyła dzień ślubu w Ostatki.

Z Malinek jadę objąć Koszowatę,
I zrozumiałem co za kawał chleba

Dał mi Pan Hetman — wszystko tam bogate,
 Więcej wszystkiego było niż potrzeba:
 Zasobno, chlebno, i miodno i mléczo,
 Mączka i łączka i ryby i grzyby,
 We dworze czysto, w dziedzińcu słoneczno,
 W koło pocziwych sąsiadów siedziby,
 I niedaleko do kościoła było ...
 A przecież wszystko razem nie cieszyło;
 Czy to że byłem sam jeden w tym dworze,
 Czy że tak nagle spadły dary Boże,
 Że człeku trudno było w to uwierzyć,
 By się udało taki los zadzierżyć?
 Dość że tak było.

Jadę więc do matki,

Bo się już zbliżał wreszcie czas wesela,
 Po drodze wzięwszy z sobą przyjaciela,
 By mieć już drużbę z sobą na Ostatki;
 W domu nie byłem od dawnego czasu,
 Bo raz ostatni przed szwedzką potrzebą,
 Więc gdy dwór matki zaświecił od lasu,
 To mi się zdało, żem zobaczył niebo!

Nieba też rada była mi przychylić,
 Wszystkiem obdarzyć i wszystkiem zasiłić;
 Lecz gdym niejaki czas w domu przesiedział,
 Wszystko jak było matce opowiedział,
 Rzekła mi matka:

„Serce mi się lęka,
 I niech tém wszystkim Pańska rządzi ręka,
 By się weselem skończyło wesele...
 Tyś dał relikwiarz — ona karabelę.“

„I jedna wiara“ mówi Paweł święty!
 Rzekłem w ufności, chcąc ją uspokoić;
 Ale złej wróżby przeczuciem dotknięty,
 Własnego serca nie mogłem ukoić....
 Błogosławieństwo wzięwszy więc od matki
 I dla synowej przyszłej upominek,
 Wraz z przyjaciółmi ruszyłem w Ostatki
 Do mój niebogi i owych Malinek.
 Mróz pofolgował, jak w Ostatki bywa,
 Puszczać poczęło i kruszały lody,
 Wiatr powiał ciepły i spadła ulęwa,
 I krę na Niemnie ruszyły już wody.

W miejscu przeprawy wielkie kry się sparły,
 I lód stał jeszcze — lecz ani po lodzie
 Nam się przeprawić ani téż po wodzie,
 Bo strach, by krychy łodzi nie zatarły;
 Pół dnia czekałem czy nie zniesie lodu...
 Wreszcie przeszedłem po nim raz i drugi,
 A że to człowiek gorący za młodu
 Choć i na lodzie — krzyknąłem na sługi:

„Nie ma złej drogi do mojej niebogi!
Puszczaj, przejedziem!“

Lecz gdyśmy zjechali,
I już drugiego brzegu dobijali,
Łód tak ogromnie jak z armaty strzelił,
I krą od brzegu z nami się oddzielił;
I kry naparły, a my z wodą płyniem,
I bez ratunku oczywiście giniem.

Dobyłem szabli i odciąłem konie,
I napędziłem, i skoczyły z lodu
Po krach do brzegu. Wołam! stojąc z przodu,
A kra się łamie i człowiek mi tonie.
W spód poszły sanie — pod łód poszła służba,
I wszystkie rzeczy, i koni siedmioro...
Po krach skaczemy, ja wprzód, za mną drużba,
Aż nas nareszcie kry już z sobą biorą,
I światem niosą całym pędem rzeki,
I woda zda się co raz bardziej rosła,
A wieczór siadła na kępie dalekiej.
Straszna noc była! — pośród kry i fali
Całąśmy dobę na kępie przestali;
Aż się nareszcie jakiś rybak zjawił,
I do pobliskiej wioski nas przeprowadził.

Umiejąc pływać — to mogłem przepłynąć!
Ale mój drużba tak się napił wody,
I skostniał wszystek — że przyszłoby zginać,
Gdybym go rzucił wśród takiej przygody;
Nadto trzos ciężki, ba i szablę miałem,
I już obojga uronić nie chciałem.

O losie naszym była już wieść w biegu,
Bo już i nasze konie pochwymano,
I po zaściankach sobie powiadano,
Że mnie wraz z drużbą zniosła kra od brzegu;
Więc nas też ludzie nad wodą szukali,
I jak z tamtego świata nas witali.
Pocziwa szlachta siedziała w zaścianku,
Kiedy nas rybak wynalazł o ranku,
Przybyli na brzeg z posiłkiem skwapliwie,
I jako braci podjęli życzliwie.

Drużba już nie mógł słowa wypowiedzieć,
Choć był człek mężny, i miał serce z rodu;
A gdy się napił z korzeniami miodu,
Dreszcz go rzuciła, ale począł bredzić;
Nie dobrze, myślę, coś się nam nie wiedzie!
A on w gorączce: „Co to z tego będzie?
A gdzie mój ręcznik? to nie dobra wróżba,
A gdzież jest wieniec? o biedny ja drużba!“

A w nocy wołał: „panie bracie, w konie!
Pędźmy co wyskok — panna młoda tonie!“

O świcie przybył braciszek z klasztora,
I krew mu puścił, lecz było zapóźno,
Jak obłąkany patrzył w koło groźno,
I na mym ręku skonał do wieczora.

I wszyscy ze wsi za pogrzebem wyszli,
I słowa matki stanęły mi w myśli,
I jakiś zawrot głowę opanował:
On mnie miał družbić, a jam go pochował!

Kiedy się wiedzie, bywa tego troje...
Szlachcie do wózka zaprzagł konie moje,
I do Malinek pojeżdżamy oba;
Tutaj dopiero czas rozważyć miałem,
Że od wypadku piąta przeszła doba,
Że ludzie z końmi i taborem całym,
O dzień podróży za nami ciągnęli,
I ostrzeżeni przecież ocaleli.
Lecz co się z nimi stać już mogło dalej:
Czy powrócili słysząc o przygodzie?
Czy na przewozie czekają przy wodzie?
Czy do Malinek może dojechali?

Nie mogłem zgadnąć — i tém większa trwoga
Zbierała serce, czém bliżej już było,
I zaklinałem: jedź! przez rany Boga —
Bo mi coś serce niedobrze wróżyło.

W tém odgłos dzwonów odezwał się głucho,
I śpiew żałobny uderzył me ucho;
Wpadam na groblę, a tu tłum narodu,
Chorągwie, światła i czarny krzyż z przodu,
Straszliwa chmura kruków i gawronów
Zaćmiła niebo, zgłuszyła śpiew chóru,
I nawet odgłos tych żałobnych dzwonów...
A tutaj trumnę wynoszą ze dworu:
W oczach i w duszy zrobiło się ciemno!
Co to? kto umarł? Co to? wielki Boże!
A z grobli wszystko pierzchnęło przedemną:
„Upiór! topielec! ratuj się kto może!“
I pierzchli w strony, a przedemną przodem
Leciało ptastwo czarnym korowodem.
„Upiór! topielec!“ jeden głos do koła,
A czarne ptastwo straszną chmurą kraczy;
Więc pędzę groblą, co koń wyrwać zdoła,
I zrozumiałem co to wszystko znaczy,
I bies mnie w kleszcze pochwycił rozpaczy.

Śpiwy ucichły koło bramy starój,
I wszystko pierzchło, i stanęły mary,

Skoczyłem z wozu, i oko nie wierzy —
Trumna otwarta — w trumnie Anna leży.

I takie były me weselne gody,
Bo mnie witała w stroju panny młodej,
I jako lilija taka była strojna,
A jako anioł uśpiony spokojna.

Jakże się udał sen mojej panience!
Porwałem trumnę jak dziecię na ręce,
Porwałem trumnę i lecę i niosę,
A wiatr mi do ust przygarniał jęj kosę,
I białe wstęgi u wieńca furkocą...
I mnie coś niosło jakąś dziwną mocą.

Nie wiem gdzie biegłem, i dokąd ją niosłem,
Ale nad dachy i dęby urosłem,
I jakaś siła od ziemi mnie niosła,
I trumna w rękach ku niebu mi rosła,
I nagle wpadłem w jakąś bezdeń ciemną,
I dalej nie wiem co się działo ze mną....

Po wielkiej burzy noc nastała głucha:
Lecz czym w letargu długo noc przeleżał?

Czy to w rozpacz rozum mnie odbieżał?
Czyli się dostał pod moc złego ducha?
Tego sam dzisiaj powiedzieć nie umiem.

Czasem świtało na chwilę w rozumie,
I nibym wiedział że mi głowa chora,
I poznawałem Wojskiego, Przeora,
Słyszałem modły — brałem jakieś léki —
Lecz skoro tylko skleją się powieki,
Już znowu szatan płatał swoje sztuki,
I w koło głowy krążyły gawrony,
I w uszach były ciągle tylko dzwony,
I przed oczyma snuły mi się kruki.

Jak długom leżał bez myśli, bez woli?
Nie mogę wiedzieć — ale bez ustanku
Czułem w tym stanie, że coś bardzo boli.
Kiedym się ocknął nareszcie o ranku,
Patrzę — a w celi nie było nikogo,
Robię znak krzyża — a ręka mnie słucha,
Probuje powstać — stoję jedną nogą,
Ba dalej drugą, i nabrałem ducha,
I wdziałem szaty, a gdym karabełę
Zdjąwszy z nad łoża przypasał do boku,
Zdrów się uczułem na duszy i ciele.
Wschodzące słońce gorzało w obłoku,

I coś mnie dziwnie nęciło w świat Boży;
 Wychodzę — mijam kruzganek niezgorzdej,
 Schodzę ze schodów, i ledwo sam wierzę,
 Zkąd taka siła i oddech się bierze.
 W dziedzińcu jakaś owiała mnie wonia,
 Jak z łąk skoszonych — patrzę, a to lato,
 I posłyszałem w stajni rżenie konia;
 Wchodzę do stajni — a tutaj jak na to,
 Koń kulbaczony rwie się koło żłobu.
 Patrzę — mój własny — o czas dla nas obu,
 W skrytości serca pomyślałem sobie,
 I siadłem na koń powoli po żłobie;
 Parsknął z radości, nie było nikogo,
 A więc z dziedzińca puściłem się drogą,
 I ciąglem jechał w świat ku jednej stronie,
 Aż zajechałem tu na dzikie pola;
 I taka była znać już Boża wola:
 Bo odtąd żyję już tylko w zakonie.

W trzy lat dopiero po mojem przybyciu
 Tutaj na kręsy — kiedy nawet gadka
 O mnie ucichła, znalazła ślad matka,
 Którę już więcej nie widziałem w życiu;
 I wyprawiła, chociaż z tak daleka,
 W te kraje za mną wiernego człowieka

Z trochę substancyi, z końmi, z papierami,
 I z listem w którym zegnała mnie Izamil!
 I na téj drodze, na domiar boleści,
 Także z Malinek odebrałem wieści.

Kiedym się w ów czas załamał na lodzie,
 Przybył mój tabor w dzień po nas do Niemna,
 A jeden z ludzi, choć noc była ciemna,
 Nie wiele myśląc, nie długo zabawił,
 I jak z czem dobrém na gwałt się przeprawił,
 I do Malinek doniósł o przygodzie.

Gdy wpadł w dziedziniec, był to właśnie ranek,
 A pierwsza Anna wybiegła na ganek:
 „A gdzież pan został?“ ze trwogą go bada,
 A ów nieszczęsny pacholek powiada:
 „Pan nasz utonął!“

I więcej nie trzeba
 Było dla Anny — bo po takiej wieści
 Wpadła w malignę — i wziął Bóg do nieba
 Anioła swego po krótkiej boleści;
 A mnie się twardy żywot tu zaznaczył,
 Lecz krzyż poniosłem, bo nim Pan uraczył.

Tu umilkł starzec, i dobył różaniec...
 Jutrzenka zeszła — i sam ziemi kraniec
 Już się nawodził pierwszym brzaskiem zorzy...
 Spojrzałem w koło — ha, piękny świat Boży!
 Więc i jam westchnął w tej chwili porannej,
 Patrząc w jutrzienkę do Najświętszej Panny!

VI.

Ileż to razy uderzał o uszy
 Odgłos komendy, i szedł mimo duszy.

Lecz jak inaczej, jak wcale inaczej
 Głos ten przenika aż do serca głębi,
 I dreszczem przejmie, i aż w krwi zakłębi,
 Gdy się marsz wojsku już do boju znaczy.

W ów czas w komendzie leży cała waga,
 I moc tajemna, i prawda tak naga
 Że się jój oprzeć już nic nie odważy,
 Że już nie rozum, ale ręka słucha,
 Że już nie wola, lecz ciało się waży,
 A koń ma z jeźdźcem po połowie ducha.

Na koń! — odezwał się naprzód Oboźny,
 Na koń!! — obiega dokoła głos groźny,
 Na koń!!! — zawrzało i zamęt wśród wrzawy,
 Na koń! — i jezdnych połowa już w biegu,
 Na koń! — i wszystkie skończone już sprawy;
 Bacność! — i wszyscy stali już w szeregu....

I słońce błysło złocisto u wschodu,
 I Księżę dosiadł bachmata wesoło,
 Przejrzał szeregi, i pomknął na czoło,
 A jedna trąbka dała znak pochodu.

„Marsz!“

I blask słońca zaigrał po stali.
 Marsz!!!

I jak rzeka całe wojsko wali!

Poważna cisza — i tylko po rosie
 Słychać głos trąbki, lecz w tym jednym głosie,
 Co się rozlegał w tej chwili rozstania,
 Leżała cała waga pożegnania.

I każdy, patrząc na tę ziemię żyzną,
 Mówił sam sobie z żałością uczuciem:

„Żegnaj rycérzy i mogił ojczyzno!
 I kiedyż znowu do ciebie powrócimy?
 Pod jaką wróżbą? i z jakim obliczem?
 I czy w szeregach jeszcze się policzemy?“

Wesoło płyną narodowe znaki!
 Széroka droga na rozstajne szlaki,
 I koń i serce ochocze do lotu...
 Lecz gdzie się oprzem? gdzie położę kości?
 I czy nam stanie drogi do powrotu?
 I czy nie zmarni się tyle miłości?...

Każdy to uczuł, że został pod niebem,
 I jechał wolno jakby za pogrzebem;
 Więc Księżę krzyknął: „Hej! naprzód śpiewaki,
 Pieśnią pożegnać ukraińskie szlaki!
 A tam na niebie widzę klucz zórawi,
 Więc dobra wróżba! Niech się wrogi smućą,
 Bojem się tylko kraj dźwiga i sławi.
 Wszak i zórawie lecą a powrócą?
 Toć i my jeszcze tu powrócimy może;
 Naprzód śpiewaki! naprzód w Imię Boże!“

To chociaż w duszy nie było wesoło,
 Słowem się wodza pokrzepiła wiara,

I wymykali śpiewaki na czoło,
I miła wszystkim wojskowa pieśń stara
Zabrzmiała w stepie:

„Hej tam na górze
Jadą rycérze,
Puku, puku w okieneczko,
Wstań i otwórz panienczko,
Koniom wody daj!”

Jest nie tajemna która wiąże duchy,
I serce wodza z sercem całej wiary,
Że wspólnie biją i do jednej miary,
Jak w elektonu chwycone łańcuchy.

Kiedy się pieśnią Książę rozweselił,
Promień nadziei także w wojsko strzelił,
I duch powrócił, i znowu ochoczo
Pryskają konie, i zastępy kroczą.
Tuż obok Księcia Pan Oboźny jechał,
I głaszcząc konia z cicha się uśmiechał,
I rzecze Księciu; — „No, co tak, to ale!
Tak po hetmańsku, i to sobie chwałę!
Gdy klucz żórawi tak dobrze posłużył,

Że z lotu ptaków Książę nam powrózył,
To powiem Panom, co w podobnej sprawie
Stary Przędziecki z młodu mi powiadał,
Który był z królem Janem na wyprawie,
Jak tam się orzeł dziwnie wojsku nadał —
Są bowiem rzeczy, mimo ludzkie zdanie,
Do których rozum nie dorobi kluczy,
Których człek prosty na wojnie się uczy;
A całe wojsko patrzyło tam na nie —
Król szedł na Kraków i Tarnowskie góry,
I chyba tylko z Pańskich Świętych który
Tak się gotuje przed swoim męczeństwem,
Jak się gotował Król przed tym zwycięstwem.

Processyą obszedł krakowskie kościoły,
I czynił śluby i wota w szczodrości,
I stare progi Jagiellońskiej szkoły
Jak wierny uczeń odwiedzał w miłości,
I adoracyą serdeczną oddawszy
Relikwjom Świętych Patronów Korony,
Szedł na wyprawę jak Król najłaskawszy,
I w łasce Bożej mocarz namaszczoney,
A w pochód biły mu krakowskie dzwony.

Choć był jak rycérz dzielnością przejęty,
Choć taką wiarę miał i nabożeństwo

Do Matki Bożej, i do Trójcy Świętej,
Nie ufał sobie, czy mu da zwycięstwo...
Otóż zwyciężył — bo go daje temu
Pan — co nie sobie, ale ufa Jemu...

Już na Morawach zabiegł drogę Panu
Prymas Węgierski, Arcybiskup Granu,
I za przymierze dziękował życzliwie,
I podjął w drodze Króla miłościwie.

Aż tu o świecie przygoda nielada:
Podług pogłoski niedalekie wrogi,
A wojsko naszło na krzyżowe drogi,
I nie wiadomo kędy iść wypada.

Król skinął ręką — stanęły zastępy,
I patrzą przed się ponuro jak sępy,
Lecz Król na niebie dawno orła tropił,
Co się z pobliskich gór rażno wychopił,
I w koło wojska wielkiem kołem płynął,
A potem nagle nad Królem się zwinął,
I zawisł nisko, i okiem go zmierzył,
I przodem w drogę środkową uderzył.

Król choć był Królem, to miał zwyczaj taki,
Że równo z berłem czczył hetmańskie znaki,

Pamięć Chocima była mu tak drogą,
Że nawet Królem, idąc na wyprawę,
Zawsze na siodle chocimską buławę
Hetmańskim strojem miał pod lewą nogą.
Więc gdy się z orłem oko w oko zmierzył,
A orzeł w drogę środkową uderzył,
Wysoko w górę buławę wyrzucił,
W lewo buławę, w prawo koniem zwrócił,
A jak przystało tylko na junaka,
Dał na tym zwrocie gładkiego szczupaka,
I chwycił zręcznie lecącą z wysoka
Druchnę chocimską, jak gdyby do tańca.
I jakby koniem tratował pohańca!
Tak po królewsku strzeliło mu z oka,
I krzyknął głośno nim posunął przodem:
„Za orłem wiara! jeszcze Bóg z Narodem!“

To mi krew Pańska! To mi duch proroczy,
Co orła pojmie gdy mu spojrzysz w oczy!
I Wam tak samo niech da Bóg mój Książę!
I niech z Narodem na wieki Was zwiąże.“

A Książę ścisnął Mohorta serdecznie,
I rzekł wzruszony: „Bóg i Naród wiecznie!
Za mną Panowie!“

I z szlaku się rzucił,
I ku wysokiej mogile się zwrócił,
I cały orszak stanął na mogile,
I na szyk wojska spoglądał przez chwilę.

Jako po stepie szeroki szlak płynął,
Tak krętą rzeką korpus się rozwinął,
I wstęgą suną półki coraz nowe,
W powietrzu wieją znaki narodowe,
Na przedzie widne i jeźdźce i konie,
Dalej się czernią tylko górą kaski,
Dalej kolumna płynie jak most płaski,
A jeszcze dalej błyszczą tylko bronie,
I po nad wojskiem tylko tuman płynie,
A już nareszcie step w obłoku ginie.....

Z nadzieją Księżę spoglądał w świat Boży,
A tu na niebie znowu klucz zórawi
Po nad mogiłą i wojskiem się pławi,
A bachmat jego, co miał orle skrzydło
U każdej nogi, przeżuwał wędzidło,
Rwał grunt kopytem, i drżał od rąchości,
I póty grzebał — aż się dobił — kości!....

Długoby trzeba myślami się wodzić,
I brnąć w nadludzkich boleściach okropnie,
Gdyby to przyszło z kolei przechodzić
Wszystkie od chwały do upadku stopnie.....

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa,
Grobla szeroka, i niby bezpieczna,
Poniżej grobli płynie w bagnach struga,
A na niej stoi mogiła odwieczna.

Tam do pierwszego przyszło więc spotkania,
Bo nieprzyjaciół szedł krok w krok za nami,
A parł na korpus trzema kolumnami...
Z rzadka już strzały padały od rania,
I Pan Kościuszko przednią straż prowadził,
I był się znacznie przodem już odsadził;
Głównym korpusem sam Księżę dowodził,
A w tylną straż komendę Jenerał
Wielhorski miał — i z lekka odpięrał
Nieprzyjaciela, który na nią godził.

Marsz trwał dzień cały — pod wieczór się miało,
I Boryszkowską groblę wypadało
Przebyć przed nocą — most za sobą spalić,
I przez marsz nocny znacznie się oddalić

Od nieprzyjacioł — jakoż po dwa razy
Przysyłał Książę z takimi rozkazy.

Rzecz była dobrze z góry obmyślana,
Bo staw z błotami, i z tą groblą długą
Oddzielał korpus nieprzebytą smugą...
A nim most stanie aż nazajutrz z rana,
I nieprzyjaciół przez most się przeprawi,
Nim się po takiej przeprawie znów zładzi,
To i nie mały czas w miejscu zabawi,
A nasz się korpus tymczasem odsadzi:
Bitwy nie chciano jak nad Bugiem stoczyć.

Gdyśmy na groblę weszli Boryszkowską,
Już się zdawało że z pomocą Boską
Ujdziem szczęśliwie — poczęło się mroczyć...
Spieszno nam było, więc trochę w nieładzie
Zbite szeregi jeły w bród się tłoczyć;
Jenerał przeszedł po moście na czele,
A Mohort jechał ostatni na zadzie,
I wołał — „Stępo!!!“ tak silnie i karno,
Że każdy słyszał chociaż było gwarno.

Wtém straszny łomot i tysiączne głosy
Wojennej trwogi, wzbiły się w niebiosy.
Co tam?!

Na przedzie most się nagle zwałił,
A nieprzyjaciół téjże saméj chwili,
Gdyśmy się z trwogą na groblę wtłoczyli,
Z tyłu w kolumnę ze trzech dział wypalił:
I na trzech liniach czysto jak po miotle,
A koło mostu zawrzało jak w kotle,
Z ludzi i z koni niby kra się sparła;
Gdy się most zwałił, sam upust już wody
Nie mógł dotrzymać — i groblę wydarła,
I woda buchła nagle rzeką całą,
I wszystko w strony od strzałów pierzchało,
I w pław do stawu, i z grobli na błota,
A i ranionych było już bez liku.

Po trupie Mohort przedarł się na siłę,
I do Rotmistrza — który jeszcze w szyku
Swych ludzi trzymał — rzekł: „a to sromota!
Hej! Ostaszewski za mną na mogiłę!“
I jak duch bitwy stanął na mogile,
I powiódł w koło oczyma przez chwilę,
I krzyknął: „Bacność! równaj się szóstkami!“
W połowie grobli ta mogiła stała...
I gdy komenda z jój wierzchu zagrzmiała,
Każdy rozumiał że pójdziem na działa,
I już przerzadło na grobli przed nami.

„Ja pójdę naprzód, i pierwszy się rzucę,
Ty stój w odwodzie! jeżeli nie wrócę,

Zaraz w też pędy idź z drugim oddziałem,
Rzekł do Rotmistrza, i z kopyta cwałem
Ruszył, krzyknawszy jeszcze dla zachęty:
„I jedna wiara, mówi Paweł święty!”

Z dział uderzono: i w szarym obłoku
I wódz i oddział zginął nagle oku.
Czekamy chwilę — koń Mohorta wraca...
A Ostaszewski: — „Teraz na nas praca!
Marsz!” i już cały drugi zastęp w locie.
Wpadamy — patrzem, a działa w odwrocie,
I kanoniere leżą już pod koniem;
Więc za działami jeszcze chwilę gonim,
A potem staję kędy stały działa,
I noc zapadła — i skończona sprawa.
Równy z działami cichła zwolna wrzawa,
A z błot i z wody wiara się ściągała.

Koło północy stanął już most nowy,
I kto na grobli nie położył głowy,
Szedł za drugimi.

W tém rozruch na przedzie,
I głos podają — „Książę! Książę jedzie!”
Książę z raportu już o wszystkim wiedział,

Że Mohort zginął, a na placu bitwy
Jest Ostaszewski i pagórka strzeże
Gdzie działa stały — rzekł: „Szkoda méj Litwy!
I jakże zginął?”

„Jak giną rycerze!”

Rzekł Ostaszewski — „jak dąb się powalił,
Ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!”
A Książę na to: „Ha, nie czas żałować,
Lecz jak rycerza trzeba go pochować.”
I kazał szukać pomiędzy trupami
Pana Mohorta. — Gdy go znaleziono,
Nieśli go groblą towarzysze sami,
I na mogile ogień nałożono;
Książę na ziemię rzucił płaszcz ze siebie,
I kazał na nim złożyć towarzysza,
I była długa i poważna cisza...
Nikt nie rzekł słowa przy całym pogrzebie;
Aż gdy grób cały w końcu był zasuty,
Rzekł Książę tylko do obecnych tyle:
„Żył z szablą w ręku, niech leży w mogile!”
A towarzysze przyklękli na grobie,
I pieśń żałobną zanócili sobie,
Którą po uczcie zwykle Mohort śpiewał,
Dziękując z serca gdy podjętym bywał:

„Czas do domu, czas,
Zabawili nas!”

A potem na koni i samo ognisko
 Gorzało tylko, bo już stanowisko
 Rzuciła w końcu nawet straż ostatnie,
 I ze wszystkiego pozostało tyle:
 Rycérz w mogile, w sercu żalność bratnia,
 I ten samotny ogień na mogile.
 I długo jeszcze w żalności tajemnej,
 Kiedy już cały korpus się oddalił,
 Patrzyłem w marszu, jak z mogiły ciemnej
 Stós pogrzebowy wśród nocy się palił.

W kilka dni prawie po owój przygodzie,
 Stanał był korpus wieczorem przy wodzie.

Patrzę za drogą — aż drogą ktoś jedzie,
 I na łańcuchu został zatrzymany;
 Konie i zaprząg coś niby mi znany,
 Konie myszate, bryka jakaś spora;
 Ktoś wysiadł z wolna, i żołnierz go wiedzie:
 Aż tu w podróży poznaję Rektora.

„A cóż Pan Mohort?“ pyta mnie.

— Nie żyje! —

„A więc nie darmo jadę z tą obawą?“

Poległ?“

— Legł w boju jak rycérz ze sławą,
 I w Boryszkowcach mogiła go kryje. —

„Ha, pokój wieczny!“ — rzekł Rektor z żalobą —
 „Długie to lata przeżyliśmy z sobą!
 I znak niezwykły jak widzę nie myli,
 Sam przepowiedział swój zgon w łasce Pańskiej,
 A o ostatniej jego życia chwili
 Ostrzegł nas w celi dzwonek Loretański.“

„Po wyjściu wojska był smutek w klasztorze;
 Prowadź ich Panie! ratuj wielki Boże!
 Mówiłem braciom, bo słyhać o bitwie,
 I dzień nam cały schodził na modlitwie.“

„Aż dnia jednego, przed samą wieczorą,
 Strwożeni bracia korytarzem bieżą,
 Więc ich wstrzymuję i pytam — a oni
 Mówią, że dzwonek Loretański dzwoni
 W Pana Mohorta celi, choć zamknięta.
 Patrzę na pieczęć, w istocie nietknięta,
 Więc rzekłem braciom: — oto palec Pański...
 Od wszego złego w modlitwie obrona...
 A gdy nas wzywa dzwonek Loretański,
 Módlmy się bracia — to Pan Mohort kona.“

„Wziąłem gromnicę, wziąłem braci drżących,
I pocznem mówić akty konających...
I łzę serdeczną nie jeden uronił,
A dzwonek ciszej, coraz ciszej dzwonił,
I głos się w końcu perełką już sączył,
Ucichł — i rzekłem: — „Pan Mohort zakończył!“
I w téjże chwili korytarze jęły,
I przez sam środek drzwi od celi pękły.“

„A więc pocałem: — „Wieczny odpoczynek!“

Kiedym się lepiiej rozmówił z Rektorem,
Było to prawie nad samym wieczorem
A i dnia tego i téj saméj chwili,
Gdyśmy na grobli krwawy bój stoczyli.
Na to rzekł Rektor: „wielka to otucha,
Że Bóg nas ostrzegł o téj krwawéj bitwie,
I żeśmy o nim myśleli w modlitwie,
Kiedy Pan Mohort oddawał już ducha.“

Cóż na to mówić? — ledwo do pojęcia,
Jak się to dziwnie nie raz w życiu wiąże:
Jeden był koniec Mohorta i Księcia,
I sen podobny miał przed śmiercią Książę!

Trzy dni przed Lipską bitwą mu się śniło,
Że sobie łoży pod dębem wyścielił,
I spał spokojnie choć słońce świeciło;
A w tém — z jasnego nieba piorun strzelił
I dąb roztrzaskał — po chwili już dębu
Nie było więcej, ni słońca ni błonia,
Ale się ujrzał jeden pośród zrębu
Pustego wkoło, bez szabli i konia,
I pot śmiertelny wybił mu na czoło;
A kiedy wołał — „A na miłość Boga!
Konie i szabli!“ i rzucał się w koło...
Nadjeżdża Mohort na swoim rumaku,
Spokojny, zbrojny, jak niegdyś od szlaku,
I zesiadł z konia, i dał Księciu strzemię.

Duch wstąpił w Księcia, gdy Mohorta zoczył,
Lekko mu było gdy na siodło wskoczył,
Lecz koń już więcej nie dotykał ziemi,
Ale się wyniósł lekko w jednym skoku,
I niby orzeł popłynął w obłoku...

Kiedy nazajutrz w oficerów kole,
Książę wesoły przy śniadaniu siedział,
I niby na żart swój sen opowiedział,
To zgasła nagle wesołość przy stole;
Choć jeden tylko był jeszcze w orszaku,
Co znał Mohorta, i służbę na szlaku.

Spostrzegł to Książę, i sam zgasł na chwilę,
A potem mówił o Mohorcie tyle,
Że serca wszystkich zajął i rozrzewnił,
I w złém przecuciu tém więcej upewnił.

„Był to ostatni rycérz z pod szyszaku,
Tak kończył Książę — „ostatni od szlaku,
Dusza hartowna, wielka i pobożna;
Po nim — żołnierzem być już tylko można.

„Przed śmiercią Hetman śnił się Mohortowi,
A mnie dziś Mohort po latach tak wielu;
I któż to zgadnie? kto zgadnie, i kto wie
Czy mi nie podasz strzemię przyjacielu?
Hej ptaku, ptaku pancernego znaku!
A czy od szlaku droga czy z Budziaku!

Ty strzegłeś Polski i hetmańskich szlaków:
Bóg mi powierzył dziś honor Polaków,
Bogu go oddam!”

I westchnął głęboko,
I tak daleko puścił myśl i oko,
Jakby zatęsknił za swym młodym wiekiem,
Jak gdyby śledził coś w stepie dalekim,

Jak gdyby dziejów przeszłych o coś pytał,
Albo na przyszłość w losach Polski czytał;
A potem rzucił i ręką i głową,
I z cicha nócił piosnkę Mohortową:

Czas do domu, czas,
Zabawili nas!...



OBJAŚNIENIA.

OBJAŚNIENIA.

Tradycje w tym rapsodzie podane są tak odległe, tak nie mające żadnej analogii z dzisiejszym naszym życiem i stosunkami, w jakie wzięci jesteśmy, iż interes czytelnika może być tu czysto-historycznej tylko lub artystycznej natury.

Autorowi chodziło w tym rapsodzie o wskrzeszenie jednej tylko postaci, o skrócenie jednego tylko charakteru — i to jest stanowisko, w którymby rad ujrzał czytelnika swego.

„Oryginały nie są rzeczą powszednią: nie rosną ani jak trawa po wygonach, ani na bruku miejskim“ powiedział ktoś bardzo prawdziwie. Do ukształcenia oryginalnych charakterów, potrzeba wielkich instytucyj i potrzeba nadewszystko tego, aby się całe życie składało na wyrobienie ich oryginalności i niepowszedniej fizjonomii.

Odkąd pióro historyczne przeszło u nas w ręce ludzi nie mających politycznego stanowiska, nie kręśli się historia żywymi wielkimi rysami, bo zginęła nie wielkich historycznych tradycy, a księga dziejów ojezystych stała się lamusem analitycznych rozbiorów i uczonych drobiazgów, zwróconych obliczem ku szkole albo ku widokom stronnictwa z którego wychodzą pisarze.

Z upadkiem narodowych tradycy zabrakło dla historyka wątku, dla narodu właściwego stróża historycznej paucizny; i księga dziejów staje się księgą bez znaczenia dla serca, dla rozumów, dla dążności nieobjętych szkołą lub stronnictwem.

Czy to dobrze? nie wiem; ale to wiem, że artysta, że poeta i wszelki człowiek szukający w dziejach zasiłku dla siebie, szukać go musi albo w historykach odleglejszego czasu, albo w żywych tradycyach aż dotąd krążących w narodzie (co podobno na jedno wychodzi) jeżeli się chce utwierdzić w zacnych przekonaniach swoich, jeżeli chce zaczerpnąć ze źródła życia i żywym dać żywe, albo w sobie ożywić co życie dać może. Za naszych tedy czasów tyle ma każdy historycznych wiadomości, ile sam przez siebie i za pomocą środków mu służących zdobyć zdoła.

Dla anatomów i patologów historycznych wartoby w naszych czasach filantropii osobny urządzić szpital i naukowo-polityczną i polemiczną klinikę: w tym kierunku nie ma ani prawdy ani życia. Na szczęście, żyje i czerpie nasza poetyczna literatura jeszcze z innego

źródła, ze sfery tradycy, które starsze od książek przetrwają książki przy pomocy Bożej i przy miłości kochającego serca.

Z téj to sfery wzięta jest postać Mohorta. Winien ją jestem P. Ksaweremu Krasickiemu z Bachorca, byłemu Majorowi Kawaleryi narodowej, przyjacielowi i dobrodziejowi memu, z którym razem kilka lat najszcześliwszych życia przeżyłem; winien ją jestem P. Kazimierzowi Ostaszewskiemu z Zarszyna, b. Rotmistrzowi Kawaleryi narodowej, który pod Mohortem na krésach ukraińskich długo służył i już r. 1794 dwadzieścia i pięć lat wojskowej służby sobie liczył. Winien jestem w końcu niektóre tradycy o Mohorcie P. Antoniemu Dembińskiemu z Nienadowej, który w czasie bitwy na Boryszkowskiej grobli 1792 r. batalionem strzelców pieszych dowodził, i Księciu Eustachemu Sanguszcze, który w czasie ostatniej już swojej bytności w Gumniskach o Mohorcie mi mówił.

Tradycy te zebrałem i podaję je w téj formie, w jakiej na mnie przeszły, bo to wydało mi się najwłaściwszą rzeczą; jakkolwiek ten rodzaj odstępuje od wszelkich aż po te czasy sformułowanych rodzajów poezyi.

Mohort jest jedną z takich istot, który przeżywszy kilka pokoleń, był niejako nicą narodowych tradycy i żywym pomnikiem przeszłości; tak przynajmniej pojąłem go z podania starszych i w tym duchu usiłowałem skręślić postać jego.

Zaledwo uwierzyć można było temu co o nim starsi mówili: Za szwedzkiej ostatniej wojny r. 1709 był już Namiestnikiem, a w bitwie na Boryszkowskiej grobli roku 1792 poległ licząc wtedy 80 lat służby wojskowej: bywszy za panowania Stanisława Augusta najstarszym w całym kompucie oficerów i chorągwi stojących na ukraińskich krésach.

Życie w chorągwi miało oddzielną cechę; na tém pograniczu stepowej Ukrainy wyrabiały się odrębne charaktery, i wiernie starałem się z tradycyi pochwycić te odrębne rysy i tony, które w historycznym żywocie starożytniej Polski, jeden strojny składają akord, dopełniając obyczajowo-publiczne i prywatne życie narodu.

Kalenickimi wieczorami nazwałem tu zebrane tradycje, bom je od P. Ksawerego Krasickiego w Kalenicy słyszał. Wieś Kalenica jest główną w kluczu dóbr górskich rodziny Krasickich, mieszkałem w niej lat parę; leży niedaleko pod Beskidem przy granicy węgierskiej na zejściu się dwóch rzék Tarnawki i Kaleniczki. Szumy téj Kaleniczki pod oknami dworu na jaz wziętój, umilały mi pobyt w tym samotnym dworze wśród bardzo pięknej okolicy położonym, ale bardzo odludnie i daleko od świata. Dobra Liskie należą do tych niewielu dóbr ziemskich, które nigdy jeszcze nie były sprzedane, ale zawsze szły puścizną po kądzieli, i od Kmitów, Stadnickich, Ossolińskich i Mniszchów do Krasickich przeszły.

Nr. 1.

I jadąc w pole z sokołem na pięści.

Przed laty 80. znane było jeszcze polowanie z sokołem na Ukrainie, najcenniejsze jednak sokoły sprowadzano już w owym czasie z Ukrainy zadnieprskiej a właściwie z Krymu, i Pan Ksawery Krasicki mówił mi, iż cena ich była tak wysoka, że za dzielnego unoszonego sokoła trzeba było dać trzy dobre wierzchowe konie stadne. Młody sokół nazywał się Maiż, dzielny i już wyprobowany Ówik, także Nurek. Sokół co uderzał na stepowego łabędzia był za dzielnego i silnego miany; ten co zbił drugiego sokoła, za dzielniejszego, a za najdzielniejszego ten, który z wysoka uderzał na czapłę i mimo jój obrony zbił ją. (Czapla przewraca się bowiem na wznak w powietrzu zagrożona od sokoła i nastawia piersiom jego dziób.) Do sokołów byli osobni ludzie sokolnikami zwani. Sokół siedział zwykle w przed-sionku zamku lub dworu w sieniach, na berle, z kap-turkiem na głowie który go ślepił, bo to go łagodniej-szym czyni, przywiązany do berła za dłużec to jest

rzemyk. Lubiono go dla tego mieć w sieni, bo kwili przededniem jak jutrenka wschodzi i daje znać o świecie; ztąd przysłowie:

Chart się zrywa, sokoł kwili,
Będzie dzień po chwili.

Kiedy wyjeżdżano na łowy z sokołem, noszono go na pięści, zakrytego kapturkiem, trzymając za dłużec, a rękawica z grubej łosiowej skóry chroniła rękę. Gdy pies stanął albo myśliwy upatrzył ptaszkę, zrywano sokołowi kapturek z głowy, w ów czas wynosił się w górę i upatrując ptaszkę ważył się nad nią, uderzał z góry pędem błyskawicy, a położywszy ją wracał do myśliwego na świstanie i wołanie „Kubuś! Kubuś!“ do którego nawykł przy żérze. Przed polowaniem głodzono sokoły, po zdobyczy dawano im odprawę. Sokoła głaskając wypada go gładzić po piersi, od głaskania po grzbiecie dzieje się i staje się płochym.

Nr. 2.

Kiedy mnie ojciec z Dubiecka wyprawiał
W drogę na kręsy.

W Dubiecku mieszkał P. Antoni Krasiecki, ojciec P. Ksawerego, i miło nam odnowić ślady tych co tu przed nami byli. Franciszek Karpiński, który patrzył jeszcze na dwór P. Antoniego Krasieckiego tak się wyraża o nim w swoim wierszu:

Z Dubiecka, gdzie Pan miejsca w dawniej swój dziedziinie,

Staropolską szczerością i cnotami słynie,
Gdzie z nim żona przykładna pouczyła dziatki,
Że jedne pełnią cnoty przed oczyma matki,
Drugie patrząc z pilnością na starszych przykłady,
Myśla: „I my też kiedyś pójdziemy w ich ślady.“

Pan Antoni był rodzonym bratem Księd. Biskupa Warmińskiego Ignacego Krasieckiego, i synowie też jego pobierali edukacyą na dworze Księcia Biskupa w Heilsbergu. Syn najstarszy P. Ignacy bawił tam najdłużej, krócej daleko P. Ksawery, który miał od pierwszej młodości wielką ochotę do wojska i kształcił się pod okiem światłych kanoników tamtejszej kapituły kks. Kremera i Chatyńskiego. Kilka lat przed śmiercią odebrał był P. Ksawery list od ks. Chatyńskiego (któremu dano przydomek v. Hatten) gdy tenże na stolicę Warmińską wstąpił; kilkadziesiąt lat leżało pomiędzy ostatniem widzeniem się a tym listem ks. Biskupa Chatyńskiego pisany do P. Ksawerego, pełnym rzewności pobożnego starca i wdzięczności dla poprzednika i dobrodzieja niegdyś swego Ks. Biskupa Warmińskiego stryja P. Ksawerego. Żałuję że tego listu przytoczyć w całości nie wypada, bo dałby wierny obraz położenia tej dyecezyi w dawnych i dzisiejszych czasach.

P. Ksawery czując powołanie wojskowe w sobie, zrywał się niecierpliwie na dworze Księcia Biskupa, a

gdy Biskup życzył tego koniecznie aby przed rozpoczęciem wojkowego zawodu ukończył pod okiem jego edukacją, opuścił dwór jego tajemnie i już siadał na okręt w Gdańsku chcąc odpłynąć do Francji, gdzie pod ów czas wielu Polaków służyło wojskowo w gwardyi królewskiej, gdy go dościgła pogoń Ks. Biskupa wysłana za nim; do Heilsberga zwróconego, powitał stryj tylko tak lekkim wyrzutem: Nie wiedziałem mój Ksawerku żeś tak gorąco kąpany, a kiedy ci tak pilno w świat i do wojska, to idź tam gdzie nasi służywali, i odesłał go bratu do Dubiecka wnosząc za nim instancję, aby mu wolno było zaciągnąć się do wojska na ukraińskich krésach: przybywszy tedy w Sanockie, zabawił niejaki czas w Dubiecku i ruszył na krésy.

Starałem się nie tylko w całym opowiadaniu ale nawet w pojedynczych zwrotach mowy i w sposobie wyrażenia się zachować pamięć P. Ksawerego, dla tych, co go razem ze mną kochali i czcili. Nie znałem nigdy człowieka tyle poetycznych a zarazem rodzinnych usposobień i myśli. Wszystko było tu jeszcze całe i w zgodzie z sobą: rozum, serce, słowo, siła, obyczaj; równa cześć dla prawdziwego postępu i przeszłości, dla doświadczenia i badań, głębokie religijne przekonanie, gorąca miłość bliźnich.

P. Antoni Krasicki należał do Konfederacyi Barskiej, i z owych to czasów musiał mieć wprost lub

pośrednio styczność z P. Mohortem, i kiedy syna wyprowadził na szlaki, dał mu do P. Porucznika listy.

Tu trzymałem się ściśle nici opowiadania: nie ma wprawdzie zwyczaju wyprowadzać na scenę bohatera poematu śpiącego, ale ten śpiący Mohort na koźle w straźnicy, wydał mi się dziwnie poetyczną istotą, i ta scena w opowiadaniach P. Ksawerego złożyła mi się do razu w kształcie rapsodu. Mohort na koźle drzymiący w stannicy, dał mi prawdziwe wyobrażenie starego ryćcerza na krésach ukraińskich czuwającego wiecznie, jak żóraw na straży. Kiedy mnie ten obraz pochwycił, rzekłem P. Ksaweremu: „ja to opiszę“. Zachnął się i przestał opowiadać; „jak to?“ zapytał: „to Panowie zaraz wszystko na piórko bierzecie? tradycya ma być żywą a nie pisaną.“ I wiele ubiegło-czasu zanim mi się udało naprowadzić P. Ksawerego znowu na wspomnienie młodości jego. Jakoż póki żył, nie śmiałem się jąć tego przedmiotu; ale kiedyśmy go stracili, z każdym rokiem rosła większa tęsknota, za każdym jego słowem, a wśród ucisku czasu i duszy, uciekałem się jak po pociechę do tych wspomnień, i dawno zaczęty rapsod nie kończyłem dla tego tylko, aby żyć wśród tych obrazów i wspomnień jak najdłużej. Dziś wysyłając Mohorta w świat, pragnę aby ściślejszym jeszcze węzłem połączył mnie z tymi którzy razem ze mną pamięć P. Ksawerego czcić nie przestali. Pragnę aby ta praca miłą była jego jedynemu synowi P. Edmundowi Krasickiemu i wnukom jego: Michasiowi któremu jeszcze dziad błogosławił i szablę

swoję darował, Ignasiowi i Stasiowi aby byli dziedzicami cnót jak są dziedzicami—imienia i krwi.

Nr. 3.

Więc drogą spinkę, strojne czaple pióro,
Rysia na kołpak.

Jak ojciec w rodzinie szlacheckiej wyposażał zwykle syna sygnetem jako klejnotem rodu, tak był zwyczaj że matka chowała swe perły dla córek, a klejnociki na spinki dla synów; w możniejszych zaś rodzinach dodawały jeszcze matki do spinek i czaple pióro.

Wiadomo jest: że czapla ma tylko w czubku łśniace pióro, i bardzo wiele czapli na to potrzeba aby złożyć z tych piórek kitkę ozdobną. Myśliwi wstawali do świtu, i był to staropolski figiel brać szczęście u Pań i panien przed wyjściem na łowy. Gospodyni domu opędzała się zwykle surowo tym żartom, i sam jeszcze pamiętam jak szanowna mawiała matrona: „A co mi tam z was, co wy zabijecie to ja na palcu upiec każę; a zresztą pozwolę wziąć szczęście, ale proszę dla siebie o czaple“. Kto się też chciał Pani przysłużyć, ten i dostał czapli koniecznie, gdyby ją nawet miał kupić. Długoletnia tedy starannością niewieścią rosły czaple kitki i szły puścizną po babkach i matkach w bardzo nawet ozdobnych a szczelnych szabaturach przechowywane.

Kołpak rysia z czaplém piórem stanowił już największy strój; jak czaple bowiem pióra, tak były rysie od dawna już cenne, a ztąd pospolicie tylko na kołpaki używane. Za mojej pamięci zabito w Liskich lasach dwa rysie. Polowanie na rysia jest niebezpieczne, bo psuje bardzo psiarnię, a przyparty ostro ryś rzuca się nawet na ludzi. Psy się zwodzą: bo skoro na drzewo skoczy, ginie trop i psy ucinają, jeżeli go jeszcze nie wzięły na oko. Pamiętam polowaliśmy z P. Ksawerym nad Liskiem, na górze Czulnia zwanój. Założono na sarny, psy zagrały, lecz po chwili, lubo strzał nie padł, ucięły nagle. Ile towarzyski, łatwy w pożyciu, łagodny i pobłażający, nabiérał P. Ksawery dziwnej surowości w kniei, i nie raz i mnie i swego syna P. Edmunda zfukał straszliwie, gdyśmy mu się niezręcznie powinęli, albo za ostro używali koni na polowaniu z chartami. Raz, pamiętam, spięraliśmy się z P. Edmundem o jakieś miejsce w Długoszu, kiedy całe polowanie szło już gorąco na dzika. — „A czy mnie djabli tych kronikarzy nadali! będziesz ty miał Długosza jak cię dzik spłata. Czuj duch! konia w kupę! strzelbę z wytoku! na oszyjek lasu!“

Otóż kiedy psy ucięły, wstrzymał się P. Ksawery i rzekł do mnie po chwili: „To nie przelewki, to ryś. Stać! ja go dojdę.“ I jakoż naprzód strzelił Grzegórz myśliwy, a potem P. Ksawery i po raz pierwszy w życiu widziałem rysia. Uwiązano go do drzewa za nogi, a do łba wiązano tak ciężkie kamienie że się cały wycią-

gnął jak strona, i w ów czas to dopiero wystąpiły na skórze ozdobne ciemne centki jeszcze widoczniej. Przy rysiu została straż w lesie aby zastygł należycie „na stronę wzięty“ a my powróciliśmy z wielkim tryumfem na Posadę Liską. Cicho, ale rad jechał P. Ksawery, i powtarzał sobie: „Ależ wasy, wasy, jakież miał wasy!“

Sześć, ośm, do dziesięciu godzin jeździł P. Ksawery dziennie konno; wszystkie podróże odbywał konno, a jesienią wzięwszy kilku przyjaciół i charty spuszczał się z gór Sanockich na równiny i dwa, trzy a nawet cztery tygodnie, szedł na równinach pomiędzy Podgórzem i ujściem Sanu; nie raz nawet zapędzaliśmy się aż do Baranowa nad Wisłę, i polowanie takie miało wiele podobieństwa z kampanią, bo o świcie byliśmy już na koniu, a przy świecach siadaliśmy do stołu codziennie w innej stronie i w innym dworze. Z każdym dniem powiększało się grono myśliwych i szczerwaczy. W taki to sposób odwiedzał P. Ksawery starych przyjaciół, zapowiadając dniem wprzód przybycie swoje przesłaniem kilku zajęcy przez jednego z myśliwych gospodyni domu. P. Stanisław Prek z Łopuszki stary przyjaciel domu i wojskowy towarzyszył mu zawsze w całej tej podróży, i zwykle już śnieg polatywać poczynał gdyśmy burkami otuleni z takiej wyprawy w góry nasze wracali i przy kominku w Bachoreu rozpamiętywali następnie całe dzieje polowania. Wszystko to było dla nas historyczne: i ten sławny Kieresz, podżary chart, i ta

Szpilka pochodzenia angielskiego, charciczka jakby z porcelany wyrobiona, która bez obrotu brała, i ów Bobik na srokatym koniu zawołany szczerwacz który dopiero w ów czas ognia nabiierać poczynał gdy się słońce do zachodu chylić zaczynało, i gdy już wszyscy myśliwi i wszystkie konie ustawały.

Do śmierci zachował P. Ksawery ten sam sposób życia, a cały skład jego dworu świadczył o starych tradycjach domu i młodości na ukraińskich krésach spędzonych. Lubo co do wyobrażeń postępował nie tylko z wiekiem ale nawet z dniem każdym, nie znałem człowieka równie starożytnego co do obyczaju, równie nowoczesnego co do znajomości wypadków historii bieżącej. Umysł zawsze jednostajnie spokojny i pogodny, nigdy w niczem niezachwiana wola, wielka prostota, w pojmowaniu wypadków sąd zawsze krótki, doraźny a trafny.

Raz wracał z polowania z pod Beskida: w tém biegnie na przeciw z folwarku posłaniec, i donosi że cały folwark zgorzał.

„A obiad?“ zapytał P. Ksawery. Na to rzekł posłaniec: „Franciszek z rądelkami uratował się z ognia.“

„No, to pospieszcie, niech nam dadzą obiad we młynie a folwark się postawi“ rzekł obojętnie, i nie było już więcej mowy o tej rzeczy, chociaż był bardzo rządny i wszelkiej zapobiegał stracie.

Przed śmiercią miał wypadek na polowaniu. Odyniec wypadł tak nagle strzałami zfukany iż za ledwie

strzelić mógł do niego. Odynieć podciął konia, P. Ksawery powalił się na ziemię, a psiarna sfór czterdziestu przysiadła odyńca, który już kilkoma kulami raniony z całą wściekłością uderzył na P. Ksawerego. Dzik ranił go parę razy kłami, a psiarnia osaczyła dzika na P. Ksawerem; sławny drażkowy kundys Rozbój przyległ mu sobą kark i szyję. Gdy myśliwi przypadli i z trwogą ujrzeli Pana pod dzikiem i psami, rzekł P. Ksawery do Michałka: „Powoli, uważnie, a pal w ucho dzikowi.“ Jakoż tak się stało: dzik po wystrzale rzucił się straszliwie i odwalił się na stronę, a P. Ksawery powstawszy rzekł obojętnie: „Ależ piękna bestya, łeb jego trzeba będzie przybić w Posadzie Liskiej nad stajnią.“ I jakoż świecą kły tego dzika podziśdzien nad stajeniami drzwiami na Posadzie Liskiej. P. Ksawery nie polował przez lat parę na dzika; aż gdy znowu dzika zabił, rzekł do mnie: „Będę żył póki zechcę, kiedyś znowu dzika zabił.“

Mój Boże! czuję to, iż objaśnienia pisać miałem, a w pamiętniki wpadam, dla których w innym czasie miejsce może dogodniejsze będzie.

Nr. 4.

Bo tam na wschodzie od wioski Bachłaje,
Już ów tatarski „Czarny-szlak“ nastaje.

Minawszy Konstantynów-Stary, pada wzrok na

wielkie, zaledwo okiem objęte równiny; od wsi Bachłaje poczyna się tak zwany Czarny tatarski szlak, na którym w odleglejszych wiekach przypada wędrówka narodów, na którym w późniejszych przypadają zagony Połowców, Tatarów i Kozaczyzny. Szlak ten poczyna się od wsi Bachłaje na zachodzie, przechodził na wschód aż do Czarnego-lasu na Ukrainie, w którym się zbierała czerń najeżdżająca przez kilka wieków Ruś i Polskę. Czarny-szlak ciągnie się pomiędzy wierzchowinami wód, i kilka ramion odrywa się od niego wiodących do Kremeńczuka, Kijowa, na Litwę, na wierzchowinę, Podole, a nawet aż w Bełzkie. Na południu łączy się Czarny-szlak z szlakiem Kuczmańskim, Multanami, który ostatecznie w Siedmiogrodzkie, Wołoskie i Ormijańskie przechodzi szlaki. W tradycjach stariej Polonii na Ukrainie osiadłej lub wojującej znany był Czarny-szlak per excellentiam pod nazwiskiem „Hetmańskiego szlaku.“ Bo jużciż po tym samym zagonie odpiérali Hetmani najeźdźców, po którym oni wpadali.

Nr. 5.

Hej! gdzie Krym? gdzie Rzym? gdzie
Karczmy Babińskie?

Znane przysłówie na Rusi, oznaczające rzeczy bardzo rozstrzelone w świecie. Karczmy Babińskie leżą samotnie na Czarnym-szlaku i są znane na całej Ukrai-

nie każdemu co przebył drogę poprowadzoną jak mówiłem wierzchowiną stepów.

Nr. 6.

Kędy na krésach wojska narodowe
Od ujścia Rosi począwszy, już stały.

Ostatni garnizon wojskowy, mówił mi P. Ksawery, zastał jeszcze w Kamieńcu - Podolskim, kiedy jechał na ukraińskie krésy. Następnie zaś nie było już wojska jak aż znowu na ukraińskich krésach, gdzie od ujścia Rosi do Dniepru aż po ujście Siniuchy sześć chorągwi lekkich konnych strzegło pogranicza. Krésy oznaczały tedy w istocie linię wojskowego pogranicza od Kozaczyny i Ordy tatarskiej, siedzących pod ów czas jeszcze na ujściu Dniepru i na dolnym Dniestrze.

Nr. 7.

I rzekł, że w miejscu stanąć jeszcze mogę
Na pierwszej luce, nim słońce zapadnie.

Miejsca na linii krésów, w których załogą stały wojskowe komendy, nazywano lukami, i na lukach tylko można się było przeprawić przez granicę.

Nr. 8.

A od téj półki wisiały trzy sznury,
Które jak lonty był ktoś porozniecał.
Wielka prostota cechowała wszelkie urządzenia

na ukraińskich krésach. Dla regularnej zmiany straży potrzebnym był zegar; ale że zegara nie było, robiono tak zwane knotki, to jest sznurki jednostajnej grubości, które były w tyle węzłów zawiązane ile godzin noc miewała.

Knotki te były prochem przetarte w sposobie lontów; wszak gdy się zdarzało, że jeden lont w ten sposób w węzły zawiązany mógł zgasnąć, ztąd, by liczby godzin nie tracono, zapalano dla bezpieczeństwa na raz trzy lonty, podług których po węzłach wypalonych godziny nocne liczono; trzy haczyki były tedy umieszczone u półki, na której stał kaganek w strażnicy.

Nr. 9.

Był to P. Mohort.

Rodzina Mohortów pochodzi z szlachty litewskiej. Mohort z krésów ukraińskich był ostatnim z swojej dzielnicy, ale zapewne nie ostatni z swojego rodu, bo mi mówił P. Piotr Moszyński, że w młodości swojej miał nauczycielem młodzieńca tego nazwiska; więc być może, że jeszcze jacyś Mohortowie żyją.

Nr. 10.

Już tu nie jeden pierwsze żołdy czynił.

Wyrażenie staropolskich wojskowych; pierwsze żołdy czynić, znaczyło toż samo co poczynąć służbę wojskową.

Nr. 11.

Hajnał krakowski odgrali trębacze.

Ejnał, hejnał, hajnał słowo węgierskie, *Hg. hay-nal aurora: Pannonos excubitores sub auroram sibi acci-nunt*. U nas tedy znaczy pieśń budzącą. — Niż jutrzeńka nad obozem wschodzi, Muzyki hejnał otrąbią krzykliwy. Chrościński Farsalia. — Rano zaraz probować chcą swój fortuny, i zagrzmić ogromnemi hejnał pioruny. Twardowski Władysław. — Hejnał wszyscy zaśpiewajmy. Eja Pieśń. — Poczciwemu nie trzeba stróża z hejnałem na wieży, bo już stróżem u niego cnota. Rej Zwierz. — Hejnał utrapionej Koronie Polskiej: Hejnał świta! Febus wstaje! Kochowski. — W Krakowie dawniej na wieży P. Maryi przez kilka niedziel przed Bożym Narodzeniem, i to tam także zwano hajnał. Hajnał krakowski składa się z trzech pieśni na cześć Matki Boskiej, odgrywany na trzech trąbach ze szczytu Maryackiej wieży w Krakowie. Te same pieśni bywały na pobudce otrąbiane w chorągwiach polskich od wieków. Zdaje się, że gdy pieśń Boga-Rodzica zaprzestało śpiewać rycerstwo, zastąpiły miejsce nowsze pieśni na cześć N. Panny hajnałami zwane.

Nr. 12.

Ptaku mój, ptaku pancernego znaku.

Było to przysłowie P. Mohorta.

Nr. 13.

A ztąd do razu kraj się rozkrył cały.

Jest upowszechnione wyobrażenie jakoby cała Ukraina była krajem zupełnie równym, co przecież tak nie jest.

Na téj ogromnej przestrzeni, której geologiczną podłogą w znacznej części jest tak zwana płyta stepowego granitu, odkrywają się pojedyncze okolice rzadkim urokiem pięknych widoków natury. Sam step zapewne ma coś jednostajnego, zwłaszcza dla tych, co nie w nim, na nim i w sobie upatrzeć nie umieją; ale nad brzegami stawów i rzek, gdzie się z pod pokładu żyznych ziem odsłania i wychyla płyta stepowego granitu, lub wapieni przypięrających o ścianę granitów, uderzają duszę widoki rzadkiej piękności, zwłaszcza nad brzegami rzek większych, gdzie albo ludzka ręka podparła naturę, lub gdzie czarne lasy i dąbrowy obsiadły zabrzeże. Rzadko uśmiechnie się Ukraina niepowszednim wdziękiem natury, ale gdzie się uśmiechnie, tam jest jój wdzięk tak oryginalny i uroczy, iż nie może iść z nim w porównanie. Skaliste brzegi i skaliste wyspy na brzegach ujrzyć otoczone szumem wód spienionych, a umajone

zielonością starodrzewia po jednostajnym i szerokim oddechu wonnych stepów, jest to widok tak nagradzający, że przy nim możnaby zapomnieć nawet o górskich widokach.

Do najokazalszych wszakże należą niezawodnie widoki brzegów dniewprowych, o które niegdyś przypierały kręsy.

Nr. 14.

Humaniekiej rzezi pamięć była świeża.

Dwie wielkie klęski przeszły przez Ukrainę na lat wiele przed przybyciem P. Ksawerego na kręsy, a jednak była ich pamięć bardzo jeszcze świeża gdy tam P. Ksawery przybył: mówię tu o dżumie i humaniekiej rzezi. Dżumę powściągnął kordon wojskowy wyciągnięty kosztem Szczęsnego Potockiego, i od tego czasu poczęła się datować jego wziętość; rzeź humanieką upacyfikował Regimentarz Stępkowski; tradycje jednak pozostały długo bardzo żywe tak po dżumie, jak po rzezi. I od owego to już właściwie czasu poczęła się zmieniać postać polskiej Ukrainy. Majatki wielkich panów przeszły w inne ręce, wiele mniejszych rodzin szlacheckich przeniosło się do innych prowincyj, z pograniczem wreszcie usunęli się Tatarzy i znikli Kozacy; tak że cała postać kraju zmieniła się zupełnie w przeciągu prawie jednego pokolenia.

Nr. 15.

A za nim siedział na kuli zegarek;
Tak zwał koguta co go wozil z sobą.

Użycie koguta na strażnika i za zegar zdaje się być odwiecznej praktyki na Rusi. Przadki budzi kur do świtu, z kogutem wozą się solarze, z kogutem Czumaki i Wałki. Po sadach i winnicach wiązano dla czujności koguta z dzwonkiem u nogi, a w wojsku miewał trębacz koguta na siodle za sobą, który znać dawał kiedy zmieniać strażę po północy.

Nr. 16.

Kiedyśmy krésów objeżdżali kraniec,
A noc zapadła nas czasem na stepie,
W ów czas rozpalał Kafarek kaganiec.

Dotąd jeszcze używają do nocnej podróży na Ukrainie kagańca, którym człowiek konny przyświeca przodem. Jest to ruchomy koszyk żelazny na drążku osadzony, w który się rzucają smolne gałki w ciągu nocnej podróży; kaganiec daje wiele światła; Kozak ma na sobie torbę z zapasem palnych gałek. Na krésach ukraińskich miał w wojsku trębacz obowiązek świecenia kagańcem.

Nr. 17.

Lub się w pochodzie charty rozweselić.

Z umysłu nie jeździł P. Mohort nigdy na polowanie, ale lubił to aby charty były przy chorągwi, i szczuł nie raz gdy się co mimochodem pomknęło.

Nr. 18.

I nie jednemu i wilki darował.

Do praktycznych przyborów obozowego życia dawnych wojskowych należały wilki; był to dywan z wilczych skór zeszyty suknem lub samemi krajkami z sukna podszyty, który służył na posłanie i nakrycie: w obozie na leżach służył na okrycie łóżka, w marszu do okrycia juk, z tą tylko różnicą, że podług pory roku i potrzeby obracano wilki włosom albo suknem do góry lub na dół.

Nr. 19.

To dla junaków są tu inne skoki.

Za mołojca w Kozaczyźnie był tylko ten miany, kto w pław na koniu przepłynął Dniepr, na arkan wziął konia z tabunu i przejechał się na nim, a w końcu kto w czajce spuścił się ze wszystkich porohów dnieprowych. Junaki wszakże w chorągwiach polskich

co to lubili i z Kozaczyzną i Tatarami chodzić o lepsze, kasali się nie raz na podobne sztuki, a nawet sam Książę Józef w czasie pobytu swego na Ukrainie chcąc być na jarmarku w Perejasławiu za Dnieprem przepłynął w pław Dniepr. Ktoby był zgadł w ów czas, że ten, który Dniepr bez szwanku przepłynął, w drobnej Elstrze utonie! Książę Eustachy Sanguszko tak mi opowiadał ten wypadek. Pani Jenerałowa Pupardowa chciała widzieć sławny jarmark Perejasławski, dokąd z końmi i tabunami przybywali Tatarzy, Grecy i Turcy, i gdzie tą razą miał być i Koszowy. Zapowiedziano sprzedaż sławnych koni, a że Jenerałowa jeździła przesłicznie na koniu, więc chciała nabyć dla siebie dzianeta, i razem z mężem, z siostrą i z kilkoma wojskowymi udała się do Perejasławia. W dzień po jej odjeździe dowiedział się o tém Książę Józef: wezwał Księcia Eustachego Sanguszkę, i kiedy do Dniepru przybyli, znaleźli tylko małą łódkę na brzegu; czajki ani bajdaku nie było. Książę nie ufając chytkiej łódce, chciał się puścić w pław; na to rzekł mu Kozak: „Koły wam tak potrybno, to siadajcie na moho konia, bo toj was zahubyt; bo win czerez Nipr ne chodył.“ Toż samo zrobił także i Książę Eustachy: rozebrawszy się, przesiedli się na konie kozackie, a Kozacy wsiedli w łódkę, wzięli ich rzeczy do łódek a konie na powódki w bród. Szczęśliwie przebyli Dniepr i przybyli do Perejasławia, gdzie zastali P. Jenerałową Pupardową z całym towarzystwem. Koszo-

wego nie było, ale był Assawuła Mużyczeńko, który Księcia Józefa z wielkimi podejmował honorami jako królewskiego synowca.

Książę Eustachy rzucił coś grubo Kozactwu, które z Assawułą było, i kazał dać poczesne, poczem Kozacy zdjęli obu z koni i poczęli ich na ręku nosić i podrzucać w górę. „Ty budiesz naszym Korołom,” wołali na Księcia Józefa, i poczęli uprowadzać z sobą Księcia. Nie dobra byłaby się z tego historia zrobiła, i Assawuła byłby pewno wielkiego okupu zażądał za Księcia, gdyby nie baczność Mohorta. Mohort miał zawsze przy Księciu starszego krésowego, który mu o wszystkich czynnościach i ruchach donosił. Skoro się dowiedział, że Jenerał Pupard i Książę pojechali do Perejasławia, przeprowił się niżej od nich przez Dniepr w kilkadziesiąt koni. Zostawił straż przy czajkach, popieszył do Perejasławia, i przybył tam właśnie w tej chwili kiedy Kozacy uprowadzili Księcia Józefa i Księcia Eustachego z sobą. Stanąwszy w porządnym szyku, kazał dać ślepem ładunkami ognia. Straszny to zrobiło popłoch na Perejasławskim jarmarku: ale Kozacy ujrzawszy Mohorta, pomiarkowali że rzecz pójdzie na seryo, i puścili Książąt. Książę Józef chciał tę rzecz jakoś załagodzić, ale Mohort nie dał i chwili oddechu, zabrał wszystkich z sobą i przeprowił przez Dniepr na powrót.

Dwa razy, mówił mi Książę Eustachy, byłem tak osobiwie podejmowany w obcym kraju: raz za Dniep-

rem, a drugi raz w Wenecyi, kiedym w młodości mojej po raz pierwszy zwiedzał Włochy. Przybyłem do Tryestu, a nie znalazłszy stósownej okazji do przeprawy, posłałem dworzanina mego, aby z Wenecyi sprowadził mi barkę. Gdy się o tém Senat wenecki dowiedział, przysłano po mnie dożowską galerę, a na niej przybyło dwóch deputowanych od Senatu zapraszając mnie do Wenecyi: przybywszy tam, wysiedliśmy przed pałacem Dożów i posłowie wprowadzili mnie do Senatu, gdzie mię jeden z członków w obecności Doży taką mową powitał, jakbym był posłem Rzeczypospolitej, chociaż nie miałem nad lat 19 w ów czas, i chociaż dobrze wiadano o tém że tylko partykularnie zwiedzał Włochy. Stanąłem w pałacu poselstwa, a wieczorem wezwał mnie Doża do swojej łoży w teatrze, gdzie grano w ów czas sławną operę: „Cosa rara.”

Z tych czasów ukraińskich przypominam jeszcze sobie jedną anegdotkę. Książę Józef wyprawiał częste baliki i podwieczorki dla Pań po futorach: zdarzyło się tedy że całe towarzystwo przejeżdżało często koło dworu Skarbnika Pyszyńskiego, poważnego szlachcica, który od wielu bardzo lat był w dobrém zachowaniu z P. Mohortem. Do wioski trzeba się było spuszczać jarem, i pominąwszy dwór, wyjeżdżać w górę znowu jarem, naprzeciw dworu był dosyć duży staw. Gdy sobie P. Skarbnik zmierzył przejażdżki owego towarzystwa po pod bramą swoją, kazał przekopać groble, utkać przerwy, i czatować ludziom gdy się całe towa-

rzystwo jarem spuści ku dworowi. W ów czas to odetkano przerwy i woda buchła tak nagle, że po chwili brodziły już wszystkie konie po brzuchy w wodzie, że nie było już rady innéj jak zajechać na dziedziniec który na powyższej leżał spłazinie, bo woda zalała cały wąwóz i drogę. Szlachcie dokazał swego: bo ci co go mijali, musieli się wpraszać na gościnę. Podjął też całe towarzystwo honeste, i kiedy po jakimś czasie za mąż wydawał wnuczkę, prosił Księcia z całym sztabem w dom swój na wesele.

Przybył i P. Mohort na przepysznym koniu i drogim tureckim rzedzie. Kiedy przyszło do oczepin, cheiano pannę młodą sadzać na dzieży, zwyczajem przyjętym na Rusi; zgorszył się tém P. Mohort że już szlacheckiego zabyli obyczaju; poszedł na dziedziniec i zdjął siodło z swego konia, posłał tyftek na ziemi, położył na nim tureckie siodło i rzekł: „Nie na dzieży, ale na tureckim siodle czepi się szlachecką córę, aby rycérskich rodziła synów.“

Nr. 20.

A od Hetmanów dane artykuły
I straż graniczna — była aktem wiary!

Jak władza hetmańska rozwijała się z przeciągiem wieków, tak też i artykuły hetmańskie które obejmowały regulamin siły zbrojnej stojącej pod wodzą Hetmanów,

rosły tylko zwolna. Początkowo rządziło się wojsko tylko wolą książąt i królów, a praktyki wojenne przechodziły następnie w tradycję i prawa hetmańskie, gdy już nie królowie i książęta wodzili wojska za sobą. W późniejszych czasach spisywano artykuły hetmańskie, i sądzę, iż nie byłoby bardziej zajmującym jak skrócenie dziejów władzy hetmańskiej: bo w Rzeczypospolitej dzierżyli właściwie tylko oni i Biskupi władzę. Najwięksi też ludzie nasi dawali pastorałem tylko i buławą kierunek dziejom narodowym. W skutek instytucji podzielona władza skupiała się tylko pod pastorałem i buławą, i tu leży podobno klucz do dziejów. Dzieje kościoła polskiego i dzieje obozów hetmańskich są właściwie dziejami narodu; po za niemi nie leży nic prócz jednej Akademii krakowskiej: chociaż i ona tylko część niższego kleru stanowiła.

Nr. 21.

Że po pacierzu, sercu w upominek,
Imiona wszystkich Hetmanów wymieniał,
A potem mówił: wieczny odpoczynek.

Starożytna Polska we wszystkich swoich urządzeniach prosta i praktyczna łączyła kolój Królów i Hetmanów z pacierzem. P. Ksawery opowiadał mi: iż przybywszy na kręsy, polecony P. Mohortowi, odmawiał z nim zawsze razem pacierze kapłańskie, po

których następowało wyliczenie wszystkich koronnych i litewskich wielkich i polnych Hetmanów. Codzienném powtarzaniem tak się wbijała w pamięć kolój głównych wypadków historycznych, że P. Ksawery zachował do śmierci kolój Hetmanów i pamiętnych po tych buławach potrzeb.

Nr. 22.

Klemens Branicki! — tu się zwykle wstrzymał —
To już ostatni!

Jan Klemens Branicki Hetman W. Koronny (urodzony 1690) ostatni potomek z starożytnego domu Gryfitów Branickich, był właściwie ostatnim Hetmanem, który jeszcze zażywał całej powagi i władzy poprzedników swoich. Wysoce poważany w narodzie i od wojska, mieszkał w Białym-Stoku; umarł r. 1773, pogrzebiony dopiero dnia 20 sierpnia 1777 w Krakowie w kościele Ś. Piotra, gdzie się znajduje pomnik jego i wielki obraz przedstawiający Hetmana na koniu wśród wojska w pełnej jeszcze zbroi; popiersie Hetmana niezłego pędzla, to samo które na katafalku stało, znajduje się w kapitularku katedry krakowskiej.

Nr. 23.

A ile razy tylko nów nastawał,
Za dusze zmarłych na msze święte dawał.

Dla praktyk religijnych mieli nasi dziadowie czasy

oznaczone: i tak dawano za dusze zmarłych na nowiu każdego miesiąca, mówiąc: „Nam nowe światło świeci, a kto wie czy duszom zmarłych świeci.“

Nr. 24.

Komendę odebrał

Przed rezurekcyą.

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego jak jest największym w kościele, tak też i był obchodzony uczuciem obowiązku w narodzie arcycatolickim. Każdy wojskowy miał sobie za to, iż nie godzi się w dzień Zmartwychwstania Pańskiego stać przy chorągwi: przed rezurekcyą tedy ciągnęła chorągiew hetmańska de Hetmana, a do Rotmistrzów ciągnęło na zaciąg towarzystwo; kto zaś miał komendę stał przy niej, a z nią u Grobu Pańskiego, aż się na rezurekcyą odezwały dzwony. Zwyczaj zaś był powszechny od Wieczery Pańskiej, to jest od Wielkiego Czwartku wieczorem przez cały czas obchodu Męki Pańskiej nie nie brać do ust, aż dopiero święcone jaje po nabożeństwie we Wielką Niedzielę.

Nr. 25.

I zdjął ów pancerz, a Pani Krakowska
Wniosła go za nim wraz z pięknym szyszakiem.

Mowa tu jest o P. Hermanowej Branickiej, siostrze Króla Stanisława Augusta, którą pospolicie nazywano

Panią Krakowską, bo Hetman Branicki był razem Kasztelanem krakowskim. Była to Pani bardzo podniosłego serca i może najznakomitsza osoba w rodzinie królewskiej.

Nr. 26.

Czas do domu, czas!

Zabawili nas!

Jest pieśń na Rusi śpiewana na bardzo rzewną ukraińską nótę, którą był zwyczaj śpiewać przy pożegnaniu, dziękując za gościnne podjęcie domu. Żałuję bardzo, że z tej całej pieśni doszły mnie tylko te dwa wiersze z tradycyi. Pewien jednak jestem, iż są ludzie co ją znają jeszcze; i bardzo byłbym wdzięcznym za to, gdyby mi kto przesłać raczył pieśń i melodyą tej pieśni. Patrz objaśnienia do 3go wydania.

Nr. 27.

I sejmem takim nad wszystko się smucił,
Co starą władzę Hetmanów ukrocił.

Wiadomo jest że sejm czteroletni odjął Hetmanom władzę którą aż po te czasy piastowali. Reforma ta była bardzo niepopularna w całym stanie rycérskim, który w Hetmanie skupienie swojej siły uważał i buławę miał za czoło swego stanu. Dla samych zaś wojskowych były te reformy zgorszeniem, a to tém bardziej, że Hetmani mieli ustąpić swęj władzy na rzecz Stanisława Augusta.

Nr. 28.

Z przybyciem Księcia, wojska narodowe
Na krésach życie rozpoczęły nowe,
Bo wiele pięknej przybyło młodzieży.

Wiadomość o tych czasiech mam od Księcia Eustachego Sanguszki, który w owym czasie z Księciem Józefem przybył do ukraińskiej partyi i służbą na krésach swój zawód wojskowy rozpoczął. Przybycie obu dwu na Ukrainie znalazło odgłos w całym kraju, i ze wszystkich stron Polski garnęła się młodzież do służby.

Nr. 29.

Święty Onufry, z brodą za kolana
Kłęczał w pustynię.

Znany jest w pojęciu artystów wschodniego kościoła typ świętego Onufrego, któremu długa i rozłożysta broda za całe okrycie służy. Na Rusi jest on czczony jako patron czystych źródeł i po wielu monastérach i pustyniach można się spotkać z posągami jego, gdzie nagi, brodą tylko własną okryty w jaskini kłęczący bywa i koło źródeł ku czci ludu podany. Tradycja o ptaszkach myjących w czystych źródłach oczy przed świtem, i oczyszczaniu się źródeł na Jura (dniu św. Józefa), jest wzięta z podań ruskiego ludu. Martyrologium kościoła rzymskiego to jest poczet albo dziennik Męczenników i innych wszelakich Świętych,

w Krakowie u Piotrkowczyka 1591 roku wydane, tak o tym Ś. pod dniem 12 czerwca wspomina:

W Egipcie był ś. Onufryusz Pustelnik, który na wielkiej pustyni 60 lat świątobliwie przeżył, i sławny wielkimi cnotami i zasługami wszedł do nieba.

Nr. 30.

Z kraju basztanu, na pierwszym zagonie
Stała, po starym zwyczaju, zatknięta
Szabla.

Szlacheć z oracza, z rycerza oracz, nie wstydził się tego, że sam skibę orze; ale kiedy orał, zatykał szablę na pierwszej odwalonej skibie, aby każdy znał: że ten orze, co tej ziemi broni. Był to zwyczaj bardzo starożytny który się do ostatnich przechował czasów. Basztanem nazywa się na spalonym stepie z nowiny wyorany kawał ziemi, na którym się posiewa kawony, melony, kukurydze, fasolę, ogórki.

Nr. 31.

Siedmiu na wartę, po dwóch przed namiotem
Na krótkie straże.

Starym obyczajem znane były wojsku krótkie i długie straże: na pierwszej stał żołnierz przez godzinę, na drugiej przez dwie, z tą tylko różnicą, że w letniej

porze roku przypadały długie straże na noc, a krótkie na dzień; przeciwnie zaś w chłodnej porze roku krótkie na noc, dłuższe na dzień. Zmiana straży odbywała się o św. Michale i św. Stanisławie; kiedy dowódzca chciał ulżyć komendzie swojej, lub kiedy na czatach bardzo wielkiej czujności potrzeba było, komenderował poczt na krótkie straże.

Nr. 32.

Rej tam wodziła pani Pupardowa.

Jenerał Pupard był to Francuz z rodu, którego Stanisław August sprowadził i oddał mu komendę brygady dwóch pułków cudzoziemskiego autoramentu. Pojął on za żonę pannę Kamieńską, której młodsza siostra poszła za Sławińskiego; była to osoba bardzo urodziwa i w istocie rej wodząca w owych czasach w tém kole, w którym się obracało czoło rycerstwa polskiego na Ukrainie.

J. U. Niemcewicz wspomina w swoich pamiętnikach bardzo zaszczytnie o P. Jenerałowej Pupardowej i jej siostrze, i o ludzkości ich dla siebie w położeniu tak trudnym, w jakim się pod ów czas znajdował.

Nr. 33.

Bo tu i popis i szkoła nie lada,
Gdy nam podpędzić kazał swoje stada;
Dwa były stada.

Podział stad ukraińskich na hetmańskie i sułtań-

skie jest bardzo stary i dziś jeszcze praktykowany, z tą tylko różnicą: że stadem hetmańskim nazywa się dziś stado Płatowa w Ukrainie zadnieprskiej, a stadem sułtańskim nazywają konie obecnie z trzech stad sułtanów tatarskich pochodzące. P. Ksawery i Książę Eustachy Sanguszko takie mi dał o tej rzeczy wyobrażenie. Po Firlejach przeszło stado do Scypionów, a mianowicie do Józefa Marszałka Litewskiego, który miał za sobą Werinę Firlejównę ostatnią z tego domu. Stado to było w Skałacie, gdzie i dromedary chowano. Po Wiśniowieckich i Sobieskich przeszły stada na Ukrainie puścizną do Radziwiłłów; nadto było stado Lubomirskich w Szarogrodzie; stado po Konasewiczu Sahajdacznym koni z czarną skórą, było już w ów czas po wszystkich stadach rozbite, i konie z tego stada poznawano tylko po ich dzielności i tej czarnej skórze. Nadto mieli Tarnowscy stado hetmańskie w Kahorliku, Wasilowie i Hermanówce. Giżyccy mieli pięć stad na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, a Sanguszkowie stado w Zasławiu od bardzo już dawnych czasów krwi sułtańskiej.

Stada dawniejsze Wiśniowieckich i Sobieskich uprowadził Płatów z dóbr Radziwiłłowskich, stado Lubomirskich rozprzedano częściami, stado Tarnowskich, gdy Jan Jacek Tarnowski Chorąży Halicki nie chciał złożyć homagium i żadnemu z synów Janowi, Feliksowi i Michałowi złożyć nie pozwolił, przeszło także w obce ręce wraz z starostwem Kahorlickim,

część wszakże jedna wraz z częścią majątku dostała się w ręce Proskurów i została dopiero za dni naszych zmarnowaną, bo jak słyszę, dzisiejszy Proskura pozbył i stada. Utrzymało się tylko stado książąt Sanguszków w dawnym miejscu i w tych samych rękach sułtańskiego zawodu, a konie Sanguszków mogą nam dać wyobrażenie, jakie to konie chowały się w stadach polskich. Książę Eustachy opowiadał mi, iż miał od P. Mohorta konia z stada Konasewicza zwanego Sahajdak, na którym lat 16 gorącej swojej przejeździł młodości; i łzy mu stanęły w oczach, kiedy począł wypytwać o owe czasy i Mohorta, z ponurym ogniem rzekł mi: „klucz bym dziś dał za takiego konia, ale go nie ma.“

Wspominałem o orlich skrzydłach z którymi u nóg dzielne konie się rodzą: jest to jak się zdaje tradycya wschodnia, którą starzy Polacy przyjęli byli razem z końmi sułtańskimi; tak bowiem nazywano u nas, jak się domyślam, nie tylko tureckie bachmaty ale i arabskie „Nezdy“ z pokolenia Anezów. Mówiono, że grzeczny człowiek tych skrzydeł u źrebięcia nie widzi kiedy się rodzi, że te skrzydła obłamują się kiedy źrebię po raz pierwszy padnie na ziemię; ztąd też od klaczy sułtańskich odbierano źrebięta tak jak się odbierają dzieci.

Druga tradycya także jak się zdaje pochodzenia wschodniego, jest o tak zwanych wichrach czyli odwrotach, gdzie się sierść na koniu w przeciwnym odwraca

kierunku od całego pomusku włosa. Starzy Polacy nazywali te wichry czyli odwroty orlém piórkiem, bo koń taki co ma odwrot, miał mieć w sobie coś z orlego przyrodzenia. Ściśle zachowałem te tradycje z odznaczeniem, co odwrot czyli orle piórko na głowie, na szyi i na piersiach znaczy. Odwrot za popręgiem znaczy śmierć jeźdźcowi jeżeli w bój pójdzie. Źródła tych tradycji szukaćby wypadało jednych po za Atlasem, drugich aż w pustyniach Arabii; a jednak były one żywe w kole tych rycerzy, którzy puścizną brali rycerstwo starożytnego Wschodu i konie od Wschodu.

Ci którzy stada większe chowają, wiedzą o tém, że do nich przybývają nie raz nieproszeni goście. Koń lub kilka nie raz koni, które się do stada przybiją, bywają silne, zuchwałe, natrętne, od koni bite; odbić się nie dadzą, pasą się po roku i dłużej po stronie, ale stada które sobie obiorą, odstąpić nie chcą. Koń taki sprzedany na jarmarku wraca, darowany nawet o mil kilkanaście ucieka od nowego nawet właściciela swego, nie daje się najeździć, niewiadomo co go goni i do stada nęci; ale przyjęty raz już do stada rozmnaża się, idzie ręką, i nie miéwa ani gańcu, ani szwanku. To się odnosi do owych myszatyh koni wspomnianych przy stadzie P. Mohorta.

Nr. 34.

Bujna w stepach pszczoła.

Tradycja o futorze żelaznym ulem zwanym

odnosi się w czasy Hetmana Żółkiewskiego, i jest cała wzięta z podania P. Ksawerego tak jak ją miał od P. Mohorta. Sam tekst objaśnia rzecz całą. A zajmującą byłoby rzeczą gdyby można na Ukrainie odszukać miejsce tej starożytnej tradycji.

Nr. 35.

Kto na Krymu ne bywau,
Perekopu ne wydau.

Pieśń gminna podziśdzień śpiewana. Twierdzą Perekopu zamknięty jest półwysep Krymu, i Perekop ten jako klucz do dziedziny Hanów Krymskich gra wielką rolę w tradycjach i pieśniach ukraińskiego ludu.

Nr. 36.

Krésy ściągnięto — piechotne kolumny
I artylerya stała pod Braclawiem.

Przed rozpoczęciem kampanii tak zwanéj piérwszég 1792 roku stał obóz wojsk polskich pod Braclawiem. Z tych czasów opowiadał mi P. Ksawery następującą historyjkę. Między nowo zaciężnymi przybyło dwóch Łaszców, szafaputów i lekkoduchów okrutnych, którym bardzo nie na rękę była surowość P. Mohorta, który właśnie pod ten czas został mianowany Obożnym. Płatali tedy figle po obozie, ale tak zręcznie, że nie

można ich było złapać na uczynku; i tak np. Jednej nocy założyli wszystkie podogonia po wierzechach sto-dół, po soszkach; inną znowu nocy przekulbaczili konie na przewrót, popiersnikami do ogonów, podogoniami do głowy, nareszcie wyrznęli z kulbaki samego P. Mohorta sto dukatów, które zawsze zaszyte w terlicy miéwał. To paniczowski figiel, rzekł P. Mohort, nikt z wojskowych towarzyszy nie zrobiłby tego, i poskarżył się Księciu.

Książę wziął tę rzecz bardzo ostro, znalazła się i kulbaka w gnojówkę wrzucona, i obok niej podrzucona kieska ze stoma dukatami, bo rzeczywiście nie chodziło tym lekkoduchom, jak tylko o to, aby dowieść Mohortowi, że czujność jego nie pomoże. Książę się bardzo rozgniewał i rzekł: ja im tu ołowiem głowy zmyję i nauczę szanować starszych. Wszystkich nowo zaciężnych aresztowano i Książę rzecz wziął tak ostro, że się psota wydać musiała, i nie było żartu. Widząc to P. Mohort wniósł za młodém towarzystwem instancją, wziął wszystkich razem do spowiedzi nie wchodząc w to kto z nich winien, a za karę musieli posłać kks. Bazylianom dwie beczki starego miodu.

Nr. 37.

Patrz Wasze, zgadłem, i koń drogę czuje!

Starzy wojskowi uważają na to kiedy koń liga w obozie, zapowiada to bowiem zawsze marsz niezawodny.

Nr. 38.

Albo zsiadł z konia i wytechnął na chwilę,
Gdyśmy stanęli pod strażniczym lasem.

Dzisiejsze uczone archeologiczne wywody zaprzeczyły temu, jakoby być miały kiedy strażnicze mogiły, na których stawiano czaty, z których zapalano wici ostrzegające o przybyciu nieprzyjaciela. A P. Ksawery Krasicki i P. Kazimierz Ostaszewski mówili mi nie tylko o strażniczych mogiłach ale i o strażniczych laskach za ich jeszcze czasów znanych. Kiedy bowiem nieprzyjaciół nadchodził, ściągali się czaty ze strażniczych mogił do strażniczych lasów. Czy się to dotąd zachowało? nie wiem, bo wszystko com tu dał, mam nie z miejscowości ale z podania.

Nr. 39.

To szabli ojca nie ma nosić komu;
A że jój smutno będzie w tym spoczynku,
Więc przyjm ją Waszmość proszę w upominku.

Pan Mohort miał szablę z napisem:
Kiedy mnie ściśnie jaka ciężka trwoga,
Daj mi ratunek Rodzicielko Boga.
i nazywał ją „starą sługą Matki Boskiej“.
Szable z napisami były rzeczą powszednią, a najczęściej

znajdują się na nich wezwania do Matki Boskiej albo apostrofy do klejnotu szlacheckiego.

Nr. 40.

Skoczyłem z wozu, i oko nie wierzy,
Trumna otwarta — w trumnie Anna leży.

Jeszcze w zeszłym wieku był zwyczaj że umarłych w otwartej trumnie niesiono do grobu. Osoby młode i w dziewictwie schodzące chowano w stroju weselnym. Na wieku trumny nieśli młodzieńcy wieniec, jakby na tacy ślubny wieniec družbowie.

Nr. 41.

I wymykali śpiewaki na czołb,
I miła wszystkim wojskowa pieśń stara
Zabrzmiała w stepie:
Hej tam na górze
Jadą rycérze i t. d.

Był zwyczaj we wszystkich chorągwiach od wieków, iż z pocztu towarzyszków dobierano śpiewaków, którzy na czele jadąc śpiewali pobożne i światowe pieśni. Zwyczaj śpiewania pieśni światowych przeszedł na pułki ułańskie, a piosnka tu przytoczona była ulubioną piosnką Księcia Józefa, i wojsko śpiewało ją przez cały czas Księstwa Warszawskiego.

Nr. 42.

To powiem Panom, co w podobnej sprawie
Stary Przeddziecki z młodu mi powiadał,
Który był z królem Janem na wyprawie.

Na wyprawie Wiedeńskiej był jeden z Przedzieckich, który późnej dożył starości. Gdy już ociemniał i z pokoju więcej nie wychodził, skarżył się na zimno; wpuszczono tedy piec piekarski do izby i urządzono mu niby pokój na tym piecu, tam siedział przez dzień cały i ledwo na Wielkanoc sprowadzono go schodkami na izbę. Broń wszakże swoją, zbroję całą i rząd z konia, na którym był na wiedeńskiej wyprawie, miał Przeddziecki na tym zapieku do swej śmierci przy łożu, i każdą sztukę zbroi i rzędu obmacał codziennie dwa razy, kiedy z rana powstał i nim szedł na spoczynek.

Nr. 43.

Król szedł na Kraków i Tarnowskie góry.
Tradycja historyczna, o czém w Janinie.

Nr. 44.

Jest w Boryszkowcach staw i grobla długa.
Miejscowość i bitwa jest ściśle historycznie opisana.

I jedna wiara, mówi Paweł święty.

Ostatnie te słowa Mohorta na Boryszkowskiej grobli odnoszą się do znanej pieśni katechizmowej:

Jeden Bóg wszędzie, jeden Chrystus przyjęty,

I jedna wiara, mówi Paweł święty.

Piotr z następcami jest głową w kościele,

Ta wiara sama, innych chociaż wiele

Wiar się rachuje, w nich żaden zbawiony

Człowiek nie będzie, ale potępiony.

Bóg to objawił swym wiernym dla tego,

Iż nieomylna prawda święta Jego.



OBJAŚNIENIA

DO

TRZECIEGO WYDANIA.



Nie tak jeszcze wiele czasu upłynęło od pierwszego wydania Mohorta, a widzę się w położeniu dodania nowych objaśnień — bo od czasu wyjścia téj mojej pracy okazało się w pismach publicznych wiele wzmianek o nim, a mnie obeszło wielu listami wierszem i prozą od znajomych i nieznajomych, na które się odpowiedzieć godzi.

Oddając jakąkolwiek pracę na własność publiczności, pojmuję to, iż sąd do niej należy; ale że to w naszych czasach wmówiono w nas, że pisma czasowe są wyrazem opinii publicznej, więc ze schyloną głową i z sercem uniżonem przyjmujemy wszystkie nagany i pochwały Mohorta, i nie będę się ani tłumaczył ani dziękował recenzentom i krytykom moim. Doszło mnie o nim zdanie starszych w służbie i literaturze, jak P. Adama P. Seweryna i P. Alexandra, na tém przestają co do samego tekstu — co zaś do objaśnień, dziwna rzecz, że właśnie te, które nie miały mieć za-

dnego innego znaczenia nad wyświecenie niektórych miejsc samego tekstu, obudziły najwięcej kwestyi i niechęci dla mnie — że te właśnie wywołały polemikę i spowodowały mnie do dania nowych objaśnień do Mohorta.

To co wytrawni ludzie głęboko czują i podzielili — co trafiło w ich myśli pod względem znaczenia historyi i tradycyi — o czém tylko z lekka natrąciłem, obraziło najwięcej adeptów literackich, znających się może na wszystkim, tylko nie na tém około czego chodzą. — Przywykły wszakże od lat dwudziestu pięciu widzieć słuchaczy moich po za kołem pism czasowych — nie w kawiarni ale we dworze szlacheckim — odzywam się do nich i dzisiaj z tém samym uczuciem, z jakim im przed dwudziestu pięciu laty pierwsze moje pody złożyłem; — z tém zaufaniem i z tą miłością serdeczną niechaj mi wolno będzie i dziś się do nich ucieszyć, i odpowiedzieć tymi objaśnieniami na wiele listów i odezw, któremi mnie moi czytelnicy po wyjściu Mohorta obesłać raczyli.

O znaczeniu, wartości i mocy tradycyi nie będziemy chodzić w zapasy z tymi, którzy jęj nie znają i ocenić niezdolni — którzy jęj nie wzięli i wziąć nie mogli puścizną — którzy jęj nadewszystko niechętni w nicości swojej z widoków osobistych. My mówimy do tych, którym to potrzebne, dając poparcie tym, od których szukamy poparcia w obliczu rzeczy Boskich i ludzkich — kościoła, dziejów i literatury.

Mohort z natury swojej wyszedł ze sfery książkowej — bo cały wzięty ze sfery tradycyi; ząd też nastąpiło w skutek jego wyjścia większe zetknięcie z tymi, co na tradycyi oparci w rzeczywistym świecie żyją. Nie wiedziałem o tém gdy go pisałem; ale uczułem to, gdy się rozszedł po świecie. Nasza literatura dzisiejsza w pismach czasowych skupiona ignoruje w złej czy w dobrej wierze wszystkie rzeczywiste stosunki Narodu; pragnąłbym, żeby nam i sobie odpowiedzieć chciała na te dwie kwestye:

Dla kogo to wszystko pisze?

Co po niej zostanie?

A sędzę że jeżeli pisma czasowe nasze z małymi bardzo wyjątkami na te dwie kwestye sumiennie sobie i nam odpowiedzieć zechcą, znajdzie ogół czytelników w pismach czasowych większy wymiar sprawiedliwości dla siebie — większe uznanie rzeczywistego położenia swego. Nasze izolowane stanowisko jeżeli potrafiło pewne żywotne kwestye dla historyi i literatury, stało się to bez żadnego zarozumienia — i czy to łaskawie czy nie łaskawie będzie przyjęte, na tém mi mało zależy. — Nawykły dawać to, na co mnie stać, a przemawiać do starych przyjaciół otwarcie i jasno, uczyniłem to w ówczas i czynię to dziś, mimo narowów naszego czasu, który nie nie zostawia potomności, ale i przeszłość swoim łokciem mierzy i wszystkie zjawiska

swojego wieku ostatecznie sędzi, bez względu na to że ktoś tam był i przed nami i ktoś jeszcze i po nas będzie:

„W światowych dziejach mieszka Sędzia Świata“, powiedział Szyller — a Wiktor Hugo dowodzi „że inny jeszcze sąd historyi a inny Boga!“

Otoż dla modernistów i eklektyków zostaje wybor za kim pojsć zechcą — za Szyllerem czy za Hugonem — mnie się zdaje, że w téj całej sprawie nie chodzi żywnie nikomu ani o sądy dziejów, ani o sądy Boga — ani o sądy literatury w końcu. Więc odpowiadając na te różne kwestye, które Mohort wywołał po za kołem gazeciarsstwa, przyznamy się czytelnikom naszym, iż znajdujemy się w niemałym kłopotcie; bo jak wspominałem, Mohort leży po za sferą książkową w świecie rzeczywistym, który żąda tradycyi żywój i opisów żywota niedawno zeszytych a znanych w narodzie mężów. —

I tak pisze mi ktoś: — „Czy można było o P. Xawerym Krasickiem, o Xięciu Eustachym Lubartowiczu, o P. Kazimierzu Ostaszewskim, czy można było wydając książkę wspomnieć o nich zaledwo kilku słowy? a wszak ci to my ich znali, kochali, czcili — za coż nie było ich opisać szerzej i podać rodakom ku czci?“

Ktoś inny znów pisze:

„Dobrze Wmm. Panu Dobrodziejowi przestać na cytacyi hajnałów; ale my mieszkamy na sto mil od Krakowa odlegli — nie znamy śpiewu hajnałów, nie

wiemy o jakich to pieśniach do Matki Boskiej mowa — jak to można było tę rzecz tak lekko traktować, nie dać nam ani nuty ani pieśni?“

Ktoś inny znowu pisze:

„Mieszkam na Ukrainie i przyznam się WWMM P. Dob. że znam pieśni które tu szlachta i lud śpiewa, ale nigdy nie słyszałem o pieśni, którą cytujesz i która w Mohorcie taką gra rolę:

„Czas do domu czas
Zabawili nas.“

Więc póki mi WWMM. Panu Dob. nie nadeszlesz téj pieśni razem z nutą, będę miał tę całą rzecz za fikcyą poetyczną i rzecz wątpliwą.“

Jeszcze ktoś inny pisze do mnie:

„Wielmożny Mości Dobrodzieju! Od Homera aż do WM. Pana Dobr. niech to będzie bez urazy, mam wszelką poezyą za rzecz nie potrzebną, ale w Mohorcie zabiłeś mi WWMM. Pan Dob. wielkiego klina — bo poezya dla mnie rzecz obojętna, ale konie chowam i jak mi się przynajmniej zdaje, że dobre konie — otoż proszę mi powiedzieć, skąd WWM. Pan Dobr. wiész o tém co piszesz o stadzie w Mohorcie, bo ja na seryo lubię brać rzeczy. Słyszałem żeś WWM. Pan Dobr. Professorem w Uniwersytecie Jagiellońskim i domyśliłem się że musisz kurs hippiki wykładać — jeżeli tak jest, to proszę mi donieść o tém, a przyjadę do Krakowa.

Na to odpowiedziałem :

Wielmożny Mości Dobrodzieju !

Ja znajduję się w tém samém położeniu w jakim WWMM. Pan Dobr. byłeś, z tą tylko różnicą, że WWMM. Pan Dobr. byłeś zapewne za młodu w Uniwersytecie, zanim jeszcze chowałeś konie — ja dostałem się na starość do szkoły, jak już na koniu jeździć przestałem. Hippiki nie wykładałem tylko Jeografią; ale jeżeli WWMM. Pan Dobr. przybędziesz do Krakowa, miło mi będzie WWM. Pana Dobr. uścisnąć i pomówić z nim o koniach — a kiedy WWMM. Pan Dobr. taki przyrodzony wstręt czujesz do poezyi, upewniam solennie, że nawet o rumakach Homerowskich nie będzie między nami mowy.

Otoż to taka sprawa.

Więc sformułowawszy wszystkie żądania i kwestye do czterech objaśnień i odpowiedzi, dodaję je obecnie do nowego wydania Mohorta. —

Pisałem w Krakowie 25. stycznia 1857 r.
w dzień Nawrócenia Ś. Pawła.

Nr. 1.

Jeżelim o Księżciu Eustachym, o P. Ksawerym Krasickim, o P. Kazimierzu Ostaszewskim ozwał się w objaśnieniach do Mohorta, uczyniłem to tylko z największej potrzeby — jedynie z tego powodu, aby Mohorta i całe to podanie nie miano za fikcyę. Wiem co się obywatelom należącym do czoła Narodu należy; a w przekonaniu tém, że są pewne względy, które i dla siebie i dla rodzin zacnych zachować należy — w przekonaniu tém, że nawet o ojcach naszych nie czas jeszcze mówić z całą otwartością w obec większego koła słuchaczy, podałem tylko kilka szczegółów, które mi się wydały nieodbycie potrzebne. Wszakże gdy właśnie z téj strony był nacisk największy listów poufnych, gdy rozumiem iż obowiązkiem moim jest abym na nie wszem w obec odpowiedział, bo były nawet bez-imienne listy; powiem tu tylko tyle, iż

od bardzo wielu lat notuję wypadki, które mi się ważne być zdają, i tradycje z ust znakomitych ludzi wzięte, które powiększaj części bez odgłosu ginęły i giną — przyrzekam w inném miejscu i w innym czasie, gdy już i o nas samych sąd bezstronniejszy orzec będzie można, zdać z tych wypadków i z tych tradycji sprawę, i ze stosunków osób z którymi się żyło lub się znało, którzy nam coś takiego podali, co dalej podać warto.

Co do ludzi, na to czas jeszcze będzie. Świeżo zwiedzając grób ś. p. Ksawerego Krasieckiego i Kazimierza Ostaszewskiego, bo w upłynioném lecie, zrozumiałem że o obydwu zawczasie jeszcze mówić. Więc proszę o folgę i o wzgląd dalszy dla siebie, kiedy się poczuwam do tego, że go dla innych zachować potrzeba.

Jeżeli Bóg łaskaw, nie wyniesiem się cichaczem z tego świata i dopełnim, co na nas padło.

Nr. 2.

Już w pierwszych wydaniach Mohorta zrobiłem uwagę, że hajnały zastąpiły zda się pieśń Boga Rodzicy, w zetknięciu się z rycerstwem węgierskiem; dziś jeszcze więcej jestem tego przekonania, bo biorąc historyczną nie wypadków tradycyjnie, nie mogę pojąć, kiedy i dla czego pieśń Boga Rodzicy śpiewać zaprzestano, gdyby jęj coś innego nie zastąpiło było

w życiu. Nic nie ma bardziej zachowawczego jak zwyczaj rycerstwa, które z kościoła poświęcenie i namszczenie wzięły — a gdy rycerstwo polskie aż po ostatnie czasy hajnałem budziło się o dniu, rozumiem iż pomiędzy pieśnią Boga Rodzicy a hajnałami krakowskimi przerwy nie było.

Śledząc nie tradycyi, sądzę że się za Stefana Batorego upowszechniły hajnały w wojsku — podając tę rzecz pod sąd wytrawniejszych, chociaż wiem o tém, że już wcześniój o hajnałach są wzmianki w pismach naszych.

Chcąc podać hajnały na żądanie do wiadomości publicznej, do kogóż było się uciec, jak nie do P. Wincentego Gorączkiewicza, który od pół przeszłego wieku oręduje muzyce kościelnej w Katedrze Krakowskiej? do kogóż jak nie do Szanownego weterana, który zwykł był mawiać: „Dzwon Zygmunowski nie ma tylko dwa tony, G i contr G, ale co to za artysta co go zrobił i czego on nie mówi!“

Z tradycyi tedy drużby mego podaję tu hajnały przez niego napisane i na nóty taktami podzielone i ułożone, bo hajnały powstały w czasie, gdzie jeszcze nót nie dzielono na takty.

HAJNAŁY KRAKOWSKIE.

(Na dwie trąby in Es.)

Nr. I.

Witaj ju - trzen - ko ra - no powsta - ją - ca.

Nr. II.

Królo - wa na - sza od Bo - ga o - bran - na.

Serdecz - na matko opie - kunko lu - dzi.

Nr. 3.

Co do pieśni:

„Czas do domu czas
Zabawili nas.“

Ufałem w to: „Pukaj a otworzą“, i nie omyliłem się. Jakoż nadszedł list z d. 12. Marca 1855 r. P. J. Cyryny, który pisze: — „Czytając rapsod pod tytu-

Łem Mohort wypadła mi pod oko nota autora, który żąda pieśni Ukraińskiej: „Czas do domu czas“ i t. d. Piosnkę tę nie raz śpiewaliśmy chórem wracając z polowania, to z ś. p. Janem Poniatowskim, to śp. Marcinem Księciem Sapiehą; otóż została mi w pamięci muzyka prawdziwej prostoty pełna, a piękna jakby z Mozarta wypłynęła pióra, i trzy strofy, które jako poezya nie wiele warte, posyłam — a było tego dziesięć strof których nie pamiętam.“

Muzykę przez P. Cyrynę nadesłaną podajemy tutaj wraz z wrotkami, które się odszukały — prosząc koby resztę tych zwrotek znał, niech nam je łaskawie nadeszle.

Amantino quasi adagio.

Śpiew.

Czas do Domu czas *f* Za-ba-ry-ły

Fortepiano.

nas Bu - de me - ne ma - ty by - ty

ny-ma komu bo-ro-ny-ty czas do Do-mu czas

za-ba-ry-ły - nas.

Jeszcze ne czas ni
Zabary try dni,
Nestij nestij na porozi
Łudsze w hati jak na wozi...
Jeszcze ne czas ni
Zabary try dni!

Czas do domu czas
Pozdrawlaju was!
Maty doma ożydaje
Jak ne wernu to połaje...
Czas do domu czas
Pozdrawlaju was!

Nr. 4.

Najwięcej kwestyi, jak mówiłem, wywołał ustęp o koniach, bo nawet sam P. Aleksander Fredro powiedział: „Bój się Boga, a skąd-że-to? z kim-

żeś się naradzał? Otóż na te wszystkie kwestye najobszerniej odpowiedzieć widzę się zmuszonym. W miarę tego jak mi rzucano kwestye wątpliwości i zapytania, już po pierwszym wydaniu Mohorta, spisałem to wszystko com wiedział o koniach; a że to nam starszym pisarzom dziś się odzywać nie wolno i nie wypada, bo głos zajęli luźni ludzie w pismach publicznych, przy których otworzystem zdaniu mileć nam tylko przystoi: więc sformułowałem rzecz o koniach — spisałem to wszystko com wiedział i podałem szanownemu memu przyjacielowi P. Marcellemu Jawornickiemu bez-imiennie do Tygodnika Rolniczego Krakowskiego, który redaguje. Bo dziś wolno nam się odzywać tylko bez-imiennie i w pismach rolniczych, odkąd zaprotestowano przeciwko temu, że filozof i historyk nie potrzebuje kanwy od poety. Gdyby ci panowie widywali się z Arystotelesem, odesłalibyśmy ich do Arystotelesa, jak poetę i historyka sądzi, — gdyby umieli ocenić Michała Wiszniewskiego, odesłalibyśmy ich do niego, bo on jeszcze mówi o kunszcie historycznym, ale że o koniach i stadzie mowa, trzaśniemy sobie na odprawę z harapa; a zostawiając a d e p t ó w literatury na stronie, podajemy tu trzy artykuły o koniach, tak jakeśmy je wówczas spisali dla P. Marcellego Jawornickiego: 1sze o angielskich koniach i wyścigach u nas, 2gie o tarantowatych i srokatych koniach, 3cie o maściach i odmianach w koniach.

I.

O ANGIELSKICH KONIACH I WYŚCIGACH U NAS.

Ulepszenia i reformy gospodarskie biorą u nas częstokroć początek z jakiegoś gorączkowego szału i występują w formie wyraźnego najazdu na kraj, pociągając za sobą ledwo nie te same skutki, co najazdy.

Tego rodzaju najazdem była mania angielskich koni i wyścigów konnych na sposób angielski urządzonych. Dziś, kiedy ta gorączka już przeszła, warto się zastanowić nad tym epizodem gospodarskim: z kąd się ta anglomania wzięła? dla czego się tak epidemicznie szerzyła? i jakie w końcu po sobie zostawiła skutki?

Warto się mówić zastanowić nad tém, bo uważam to od kilkadziesiątu lat, że nas tego rodzaju gorączki nachodzą perjodycznie, i kiedy mania chowania angielskich koni i wyścigów konnych trochę przeminęła, zapewne jest coś nowego za pasem, na co się rzucimy z gorliwością nowatorstwu właściwą.

Wracając do chowu koni angielskich u nas, musimy począć genetycznie, z kąd się to wzięło? — Od czasu jak francuzi bardzo miarę przebrali w radykalnych opiniach politycznych i w przekształcaniu dowolnem a gwałtownem społeczeństwa swego, odezwiała się w nas instynktowo, że tak powiem, jakaś pocziwsza

zachowawcza żyłka: ale, miasto tego, żebyśmy w tym kierunku umysłów i spraw, mieli byli powrócić do Boga, do pocziwych zwyczajów domu, do poważnych obyczajów narodu, do języka, do tradycji w księgach i w życiu, do pracy i wsi, a w końcu do gospodarstwa, któreby w moralnych pobudkach czerpało siły materialne: miasto tego, rzuciliśmy się od francuszczyzny na anglomanję, upatrując w instytucjach angielskich większą rękojmię dla społeczeństwa, które z historycznej posady swojej dotąd nie zostało wyparte.

To studjum, że tak powiem, instytucji angielskich, angielskich obyczajów, angielskiego gospodarstwa, doprowadziło wszakże do bardzo dziwnego skutku: bo wyrastając z zupełnie innej przeszłości, żyjąc pod zupełnie innymi instytucjami i w innym kraju, pod wpływem zupełnie innych okoliczności i stosunków, zamierzaliśmy sobie dojść do tych samych rezultatów: w skutek tego założenia wzięliśmy się, między innymi, do chowu angielskich koni, a tu jeszcze poczęliśmy chów angielskich koni od tego na czem go w Anglii skończono, to jest od wyścigów konnych.

Już z góry było to wielkie absurdum: bo rasa naszych krajowych koni, bez względu na pojedyncze stada i stajnie, bez względu na indywidua, nie ma całej żadnej analogji z germańskimi rassami koni; a jużciż w teorii krzyżowania rass jest to jedna z głównych zasad, jeżeli się nie chce dojść z tego krzyżowania do wyrodków, aby zbliżyć do siebie rassy rodem, krwią

i budową pokrewne i niezbyt oddalone. Tym co bliżej zajrzeli w te rzeczy, wiadomo jest, ile to czasu upłynęło, nim z krzyżowania pierwotnej rassy anglo-saxońskiej i arabskiej wyprowadzono te rassy, jakie dziś Anglja posiada. My chcieliśmy do nich dojść do razu i wszystkie zalety angielskich koni przyswoić krajowi.

Cały ród naszych koni, poczynając od drobnych chłopskich a kończąc na roslých stajennych, jest albo w istocie orjentalnego pochodzenia, albo przynajmniej najbliżej orjentalnych rass stojący, mianowicie zaś, najbliższy koni tureckich. Jakoż, dowodzi tego, nawet w drobnych konikach, wyniosły przód, noga gładka, sierść krótka, krew dobra, kość okrągła, a nadewszystko to, że byle lepiej nieco chowane, byle z rassą tureckich koni zetknięte, a zaraz poczynają rodzić coraz roslęjsze konie i odradzają wszystkie zalety świadczące o pierwotnym pochodzeniu swoim; ten sam skutek ma także poprawa roslých naszych koni przez arabskie jak drobnych przez tureckie: słowem mówiąc, tylko orjentalna krew może poprawić chów naszych koni. Jeżeli więc sprowadzeniem koni angielskich zamierzaliśmy podnieść chów krajowych koni, to cel był zupełnie i już z góry chybiony, bo niewłaściwą płonkę obrano do szczepienia: jakoż okazało to się w skutkach, bo miasto uszlachetnienia rassy miejscowej, napłodziło się z tego krzyżowania rass mnóstwo wyrodków i dziwolągów, lub tam tylko udały się piękne źrebięta po angielskich ogierach, gdzie w angielskim ogierze była przewaga krwi arab-

skiej, a tém samém, gdzie, lubo nie wprost, ale pośrednio była pewna analogja rassy.

Dalecy tu jesteśmy od tego, ażebyśmy nie mieli uznawać wielkich zalet koni angielskich: wszakże i w Anglii chowa się kilka rass różnych, do różnego użytku; chcieć zaś tego, aby się angielskie konie tak samo i takie same chowały u nas jak w Anglii, wychodzi to na jedno, co chcieć znieść różnice krwi, klimatu, gleby, wychodzi to na jedno, jakbyśmy żądali od żyta żeby było pszenicą, od owsa żeby był jęczmieniem. U nas wszakże nie o ten szkopał jeszcze rozbił się chów angielskich koni, ale właściwie o to, że inne jest u nas przeznaczenie i użycie konia a inne w Anglii,

Pomiędzy koniem, ziemią a człowiekiem jest bowiem także pokrewieństwo, niemniej jak pomiędzy temperamentem konia a charakterem jeźdźcy.

Angielski koń osadza się właściwie na przodzie — my lubimy osadzać konia na zadzie: angielski koń jest niedoścignięty, ale w prostej linii, jak lokomotywa — my lubimy konia zwrotnego, jak to mówią wolta na talérzu, kiedy angielskiemu tę wolę z dziś na jutro zapowiadać trzeba; angielski koń ma ostre kości, często, jeżeli się w pierwotną rasę wradza, spadziste, ścięte, tak zwane świńskie zady, krzyż nieużyty, pysk trudny do wyrobienia, potrzebuje ostrogi, jest często smutny i narowisty — my lubimy konia czulego w wędzidle i łyce, okrągłej kości, wesołej krwi i fantazji bez narowu. O te tedy różnice rozbił się właściwie chów angielskich koni

u nas, chociaż i wiele materialnych przyczyn przyłożyło się do tego: bo koni angielskich nie było jak i do czego użyć i nie było kupca na nie, a miliony wyszły z kraju na zakupno koni angielskich i na urządzenie wyścigów konnych. Była to jednem słowem rzecz czysto zbytkowa, na zachcenie — fantazja pańska. Jeszczeć rozumiem tych, co sprowadziwszy *vollbluty* angielskie zakładali małe exotyczne stada, ale trudno zrozumieć tych, co nie mając i nie hodując angielskich koni, zapragnęli figurować na wyścigach konnych. Działo się tedy, że tego rodzaju dylettanci skupowali, gdzie można było, źrebce po angielskich koniach wychowane, albo już krwi mieszanej — i zaledwo że anglomania przeszła kraj najazdem, a już urządzono wyścigi koni angielskich w Poznaniu, Warszawie, we Lwowie i Tarnopolu, a nawet na Ukrainie, gdzie podobno najbardziej exotyczną plantą jest koń angielski. Pamiętamy bardzo dobrze te czasy i ilu ludzi skrzywiło swój charakter i swe życie na tej zabawie, ile majątków podupało lub pękło zupełnie! Bo chciało nam się do razu zostać anglikami i to nie prostemi anglikami ale lordami do razu. Nie dość było sprowadzić lub nabyć konie angielskie w kraju z niesłychanym nakładem, ale trzeba było sprowadzać koniuszych i trenerów z Anglii, zakładać wyraźne szkoły żokejów, urządzać areny i pastewniki angielskie, urządzać kosztowne stajnie, kosztowne zabawy, płacić grube wkupne do klubów, dawać wielkie nagrody, robić wielkie zakłady; słowem, przyłożywszy

skąłę majątku lordów angielskich do naszych biednych i szlacheckich fortun, zabawiliśmy się pięknie ale nie długo!

Jakoż, śmieszna emulacja, która zawsze przyprawia o ruinę majątki szlacheckie, ślepe i bezrozumne naśladownictwo, chęć okazania się wszystkiém inném, byle nie tém czém się jest, złe ocenienie własnego położenia i potrzeb kraju — to napędziło wielu na tę drogę angłomanji i przyłożyło się do rozszerzenia przekonania, że nie ma konia jak tylko *vollblut* angielski i że przeznaczeniem konia jest figurować na wyścigach.

Dziwna tedy rzecz — a właściwie bardzo naturalna i prawdziwa — że to samo co się w Anglii przyczyniło i przyczynia do wzrostu hodowli koni, to jest, że wyścigi konne przyczyniły się u nas do upadku chowu koni: bo chcąc dojść do doskonałości *vollblutów* angielskich, zaniedbaliśmy chów wszystkich innych rass, mierząc zaletami *vollblutta* zalety w ogólności konia. W po-niewierkę poszło tedy co swoje, bo niepodobieństwem było przerodzić krajowe stada i stajnie, a cała uwaga była tylko zwrócona na rassę angielską. Najznakomitsze krajowe stada poszły w lekkocenienie i pogardę; więc to co istotnie miało i ma wielką wartość, tém poczęto pomiatać, to poczęto zaniedbywać; gdy z drugiej strony, w krzyżowaniu angielskiej rassy z naszemi końmi, doszliśmy do dziwolągów i wyrodków niezdatnych donieczego.

Na tém więc skończył się ów epizod chowu angiel-

skich koni i upowszechnionych angielskich wyścigów, u nas przynajmniej; a w miarę tego jak ta mania, która tyle kosztowała, przemija, przychodzimy znowu do ocenienia zalet własnych stad i koni uszlachetnionych przez tureckie i arabskie ogiery, i daj Boże! żeby się ten smutny epizod na tém tylko kończył, że kilkanaście lat w uszlachetnieniu własnych rass, rass krajowych jest straconych, i żebyśmy tam znowu, pod względem chowu koni, stanąć mogli, gdzieśmy przed dwudziestu pięciu laty stali.

II.

KILKA SŁÓW

O TARANTÓWATYH I SROKATYH KONIACH.

Jak do wszystkiego poczyną świat zwolna pzwra-cać, co bez potrzeby zarzucił, czego w swym czasie ocenić nie umiał, tak téż powraca dziś znowu do chowu srokatych i tarantowatych koni.

Jeżeli się tu kogo radzić wypada i niezawodnie można, to staropolskiej hippiki, która, nietylko że przywiązywała wielkie znaczenie do maści konia, ale nadto jeszcze umiała każdy znak na koniu położony odczytać niejako i tłumaczyć jego znaczenie, podług odwiecznych praktyk i właściwego daru obserwacji. Wszędzie widzimy toż samo, gdzie się od wieków sławne

hodnią konie i gdzie chów koni jest związany z życiem i powołaniem człowieka i narodu.

Według tej tedy tradycyjnej hippiki, jest maść tarantowata pierwotnie pochodzenia perskiego, a dostała się do nas od Tatarów. Brudno-kasztanowata lub dropiata tarantowacizna na skórze lśniącej białości, o cielisto-różowawych chrapach i nozdrzach, o takim samym podkasaniu, lekkiej bardzo grzywie i niskim ogonie — to jest maść pierwotna i oryginalna tarantów; którą tém wyżej ceniono, jeżeli nadto róg kopyt był czarny i lśniący, kształt obłączysty, pęcina krótko związana, oko czarne i wypukłe, wyrost szyi koguci, cętki tarantowacizny równe, jajkowatego kształtu, mało co większe od jaja, i coraz drobniejsze ku szyi i głowie, tak że się w końcu na głowie, i nogach w dół kończyły grubą hreczką lub jednostajną ciemną maścią. — Pierwotne tarantowate konie nie były rosłe, jak wszystkie orjentalne rassy, i miały wszystkie ich zalety, a zrażało to tylko u nas do nich, że nie miały pięknych ogonów bo zazwyczaj od spodu zawsze nagie, a tylko z wierzchu rzadkim, niezbyt długim, a często i krętym włosieniem pokryte — tak zwane pytki. — Pochodzi to stąd, że zawsze tylko jedna maść daje włosów na ogonie; albo obrastają centki, co się częściej zdarza, albo porastawłos białe a centki są nagie, co już do zalet w tej maści liczone, kiedy tarant miał ogon biały. Grzywa biała zdarza się tylko u ogierów i należy do najpiękniejszych odmian w tej maści.

Zrażało tedy, jak mówię, u nas do tarantów, że nie miały pięknych ogonów, a wyjątkowo tylko bogatą kądziel. Kiedy więc w całej Europie, na wzór okazałego hiszpańskiego dworu, poczęto już w XVII wieku urządzać kalwakaty i cugi dworskie, sprowadzono i do nas hiszpańskie i neapolitańskie konie, i stąd powstały taranty rosłe i taranty z lepszymi ogonami; bo, jak wiadomo, są hiszpańskie i neapolitańskie konie także przez arabskie poprawione, ale zachowały wielkość domowej rassy, silne grzywy i ogony, horbonosy, silne piersi i ogromny wyrost szyi.

Przez rozrodzenie i zkrzyżowanie zmieniła się pierwotna tarantowacizna w żelazne, kare, gniade, na siwe nawet centki. Te taranty, wszakże, nie są już ani tych zalet co oryginalne ani tej wartości. Tarantowate konie eugowe i rosłe księżnej Marszałkowej Lubomirskiej od których wielu u nas wywodzi pochodzenie tarantów, były z za granicy za nią sprowadzone, ale książę Wojewoda Ruski miał odwieczne stado perskich oryginalnych tarantów, z którego pod wierzch lekkie brano konie. Dziś pozostały resztki tego stada w Złotnikach na Podolu i stąd się znowu ta maść rozmnaża.

Tarantowate konie bywały cenione, bo zaletą tej maści jest: wielka krew, silna więź, gładki fel i ręczność bez narowu. Taranty wyrastają długo, późno do pracy wzięte służą długo i żyją bardzo długo.

Ród idzie tu głównie po ojcu, nie po matce, jak u innych orjentalnych koni; a nietylko zalety rodu ale

nawet i maść. Chciawszy się tedy dochować stada tarantowatych koni, nie dosyć jest mieć tarantowate klacze (których się stosunkowo zawsze mniej w tej maści rodzi), ale potrzeba mieć ogiera taranta; bo klacz każdej prawie maści rodzi tu w ogiera: doświadczoneo nawet tego, że klacz nietarantowata rodzi źrebięta z najregularniejszymi centkami, z piękniejszymi nierównie częstokroć niż je nawet miał ojciec; kiedy źrebięta po samych tarantach widocznie się zwodzą, bo miewają dziwną i przykrą tarantowaciznę, a czasem przechodzą w dzikie maści, po których się tarantowaczyna przerzuca.

Co do srokatych koni, te są krajowego zawodu, a w piękniejszych i dzielniejszych koniach może uż ostatkami pierwotnej polskiej rasy, naznaczonej tylko widocznie dziś już jedynie w tej maści.

Srokacizny nie ma nigdzie pierwotnej, tak jak jest tarantowaczyna, a regularna srokacizna dowodzi odwiecznego starania w hodowaniu koni i najstaranniejszego krzyżowania rass i maści: stąd też zdarzy się u nas częstokroć znaleźć i ocenić w srokatym koniu zalety i piękności, choć nie jest, jak to mówią: wielkiego rodu i wysokiego żłobu, jakich nawet rassowe konie, tak zwane pierwszj ręki, nie posiadają.

Najlepszym dowodem, że koń srokaty jest tylko skutkiem odwiecznej hodowli koni w rękę i za staraniem ludzkim, jest to, że srokatych koni nie ma tam gdzie się konie nawpół dziko chowają w tabunach; do-

piéro Zawodzkie stada poczynają mieć srokaciznę: stąd też jest tradycja między koniarzami na Ukrainie, że kto do Ordy tatarskiej stepami zimą jeździł, nie brał nigdy srokatych koni w drogę, bo koń srokaty nie wygrzebie sobie paszy z pod śniegu; przeciwnie zaś, zachwalano bardzo srokate konie, z powodu ich odwagi, na konie wojenne i myśliwskie, bo mają wiele bystrości, pojętności, czujności na straży i stanowisku, nie boją się zwierza ognia ni wrzawy.

Uderzają nieraz w srokatym koniu drobnym szczegóły tak piękne, iż nie umiemy sobie zdać sprawy, czemu to przypisać? a rzeczywiście leży to w bardzo starożytném pochodzeniu i krwi szlachetnej która się jeszcze przechowywała w koniach tej maści. Co więcej, kiedy tarantowaczyna nie ma pewnych stałych cech, co do kształtów i ruchów, przechowywały srokate konie pewne ruchy i kształty stałe. I tak, na przykład, szerokie czoła i międzyusz, otwarte chrapy, więź zwięzła, nisko związane nogi, szerokie, prawie rozparte zady, stęp spory i wybitny, kłus nadzwyczaj wyciągnięty, zwrot łatwy, osadzenie w miejscu, oddech silny i długi, o czém się przekonać można przy pojeniu koni, bo srokaty koń pojony zanurza łeb w wodzie wyżej chrapów jeszcze: dalej, wielka wytrzymałość, i, jakem już nadmienił, odwaga, łagodność, wielka pojętność, przywiązanie do jeźdźcy i miejsca, jedném słowem mówiąc, większy rozum w tej maści niż w każdej innej; co dowodzi, powtarzam, że te konie są już od

bardzo dawna pod ręką i w staraniu ludzkim. Nie należy to przypisywać przypadkowi jedynie, że pod trębaczy, dojeżdżaczy, myśliwych, dają się tradycyjnie srokate konie: jest to, przeciwnie, wymowny dowód świadczący o odwadze i pojętności koni téj maści. Również nie jest i to przypadkiem, że się małych chłopaczków na srokate sadza konie i że sztukmistrze wszystkich narodów starają się zawsze o nabycie małych srokatych naszych koni, które za granicą dotąd z pojętności swojej słyną i z łatwością wyuczyć się dają sztuk różnych. Żaden koń nie nadaje się żołnierzowi w tak krótkim czasie jak srokaty, nadewszystko, gdy pod wierzech użyty, daje się łatwo nauczyć tego, by bez uwiązania stał w miejscu i na stanowisku, gdzie się go, zsiadłszy, postawi; co dowodzi, że ta maść była z dawna łagodnie, starannie i z ręki chowana, że pojmuje stosunki ludzkie i jest rozumnie karną.

W srokaciznie są te maści u znawców najwyżej cenione, które z natury swojej najdalej od siebie legły, a więc przedewszystkiem konie karo-srokate; po nich idą gniado-srokate, dalej kasztanowato-srokate, bułano-srokate, siwo-srokate i najpodlejsze myszato-srokate. Co zaś do saméj srokacizny, i tu zachodzą znaczne bardzo różnice. Czém regularniejsza srokacizna, tém niezawodnie koń lepszy: równy czapraczek ciemnej maści na białej lśniącej skórze, należy do doskonałości — zwłaszcza, jeżeli przytém jest głowa ciemnej maści i nogi w dół

od kolan ciemne, róg czarny, a ogon wzdłuż od krzyża na poły biały na poły ciemny: do największej zaś perfekcji należy już w karych srokaczach, jeżeli na białych płatach znajdują się z rzadka krągłe kare centki owalowego kształtu, jak na tarancie; bo taka srokacizna świadczy o przekształceniu trzech rass różnych i zejściu się trzech maści najbardziej od siebie odległych, to jest maści tarantowatej, maści siwej, której pierwotnie nie było w naturze, i maści karéj, która najdalej od siwej leży. — Błędem w srokatym koniu jest, jeżeli ma od uda w dół białe nogi — takie konie bowiem bywają do grudy bardzo skłonne, w użyciu miękkie i miękkiego ścierwa — jeżeli ma biały róg, który zwykle goścował bywa, nadzwyczaj suchy i szczypki; nie mają tego jednakowoż za błąd, żeby róg był wzdłuż drobno — prążkowato srokaty, byleby był twardy i połyskujący; błędem jest, w końcu, jeżeli mają zierkate lub tak zwane porcelanowe oczka. Koń przykrej srokacizny, trzy lub więcej kolorowej, bywa miękki lub narowisty; koń porcelanowego oczka nietrwały i krótkowidzący, dla tego czasem lękający się wszystkiego przed sobą na ziemi, lubo do ognia i wody odważny bywa.

Ktoby się chciał dochować koni srokatych, niech szuka ogiera któryby był mało ale bardzo regularnie i, jeżeli można, karo, skarogniado, lub przynajmniej zawsze ciemno-srokaty, a niech z nim nie styka ani klaczy siwych ani dzikiej maści. Srokacizna ma to do

siebie, że się w pokoleniu powiększają płaty białe; szczególnie idzie to po klaczach, że źrebięta z nich urodzone, mają coraz większe płaty białe po nogach: dla tego wypada rozradzać srokaciznę z ogiera sroka-tego, któryby miał jaknajmniejszą strzałkę i nie więcej jak jedną i to zadnią lewą nogę białą po pęcinę. Cechą niezawodnie szlachetnej rassy będzie zawsze, jak mówiłem, regularny czapraczek ciemny albo biały, chociaż ciemnemu na tle białym dają pierwszeństwo. — Srokacze różowej skóry są bardzo łagodne i pojętne, ale srokacze czarnej spodniej skóry i twardego ogona (co się krzyża oznacza) są to konie największych zalet i największej trwałości w tej maści.

W dobiéraniu regularnej srokacizny nie trzeba się koniecznie oglądać na rassę — gdzieś to wyżej i dawniej od jednej krwi poszło; zalety lubią się i odradzać i powracać przy poprawie krwi i to dowoli; zawsze jednakowoż trzeba się trzymać tej zasady, aby poczynając hodować srokate konie, zaczynać od mało-srokatych, to jest, aby ciemna maść przeważała, mianowicie na głowie i nogach, bo z każdym pokoleniem będą się powiększały płaty białe i nie ma obawy żeby się urwała srokacizna na braku białej sierści.

Tak zwane murzynki nie należą właściwie do srokatych koni; wyradzają się one z maści siwej, z dereszów i z żelaznej maści, nie mają żadnego związku z maścią srokatą; a że rassy te są od niej bardzo odległe, nie radziłbym nigdy tych maści zbliżać do siebie.

III.

O MAŚCIACH I ODMIANACH W KONIACH.

Ledwo, że te artykuły w świat poszły a już cię rekryminacje: „z kąd on wie więcej o tarantach i srokatych koniach od nas? gdzie rękojmia że tak jest jak mówi?”

Moi Panowie! Z kąd o tém wiem? wszakżem mówił że z tradycij! Gdzie rękojmia? — w doświadczeniu! Że z upadkiem chowu koni u nas i stad krajowych, zatraciliście tradycje gospodarskie, to rzecz bardzo naturalna. Że z doświadczenia wieków nie chcecie korzystać, czyjaż to ma być wina?

Mówiłem to już poprzednio, że tradycyjna hippika jest składem odwiecznych doświadczeń i skutkiem właściwego daru obserwacji w narodzie, który od wieków dzielnie chował konie.

Tradycje te żyją pomiędzy ludźmi znawcami; między właścicielami stad, między ludźmi chodzącymi koło koni; czegoś można się było i w wojsku, czegoś i z stariej księgi nauczyć, czegoś i na jarmarku. Nie są to nowe rzeczy, o których piszę, i owszem cała ich jedyna jest zasługa, iż nie są nowe, ale na odwiecznym doświadczeniu oparte; a jeżeli się czasem jakaś

prawda przedrze z życia do pism naszych, czyliż to ma tak obrażać? I owszem, nieśmy to drugim w dobrej wierze, co nam w dobrej wierze dano, a na tém zyska tylko rzecz.

Zapytuję się tedy: któż szczerzej i sumienniej badał naturę konia, czy ten, co znając wielkie i mądre drogi Opatrzności pytał się niejako natury przez wieki o każdą własność konia, o każdy kształt i ruch jego, o znaczenie jego maści, o każdą odmianę w niej, o każdy znak na koniu położony — ? czy ten, co zmarnowawszy puściznę dziadów, i tradycję rycerskiego narodu zatracił i stada zmarnotrawił, a dziś przypisując w koniu wszystko ślepemu przypadkowi lub sprytowi europejskiego makiniona, chce restauracją stad krajowych rozpocząć od sprowadzania koni z zagranicy i uważa to za ujmę honoru, jeżeli się ktoś z boku poważy, patrząc na tę swawolę, odezwać półgębkiem?

Nie zważając tedy na te gadaniny, prowadzimy naszą rzecz dalej w duchu rozpoczętym, i powimy dziś o maściach i odmianach w sierści.

Po srokatych i tarantowatych koniach następuje tu przeto, według tradycyjnej hippiki, wytlumaczenie wszelkich innych maści i znaków w koniach, tudzież wytlumaczenie odmian białonogich, łysych, strzałkowanych, wytlumaczenie chrapek, gwiazd i odwrotów na koniu.

Zafarbowanie sierści pochodzi od większej lub

mniejszej ilości żółci, która się w koniu wyrabia, we włosach przetwarza i maść koniowi daje; że zaś większa lub mniejsza ilość żółci, którą organizm wyrabia, wpływa stanowczo na naturę konia i na jego własności, ztąd też uważano maść w koniu za wskazówkę własności jego, ztąd zmienia się częstokroć maść z wiekiem, a nawet podług paszy i pory roku w koniu, lub przybiera pewne odmiany, w miarę tego jak organizm więcej lub mniej żółci wydziela.

Maść tedy u konia nie jest zupełnie obojętną rzeczą, a od wieków uważano sierść gniadą, która środek w maściach wszystkich trzyma, za najpierwszą i najlepszą; jakoż, gdzie się konie starannie hodują, tam przeważa zawsze maść gniada, która z jednej strony w skaro-gniadęj sierści przechodzi w maść wroną, z drugiej strony w cisawą. W sierści tej rozróżniają następujące odmiany: jasno-gniadą, złotą, skarogniadą, gniado-jabłkowitą, gniado-pleśniwą. Z tych za najgorszą mają znawcy jasno-gniadą, zwłaszcza, podpalałą, tj. gdy noga, nozdrze i brzuch przypłowsze bywają — znak to niedobry. Najlepszy złotogniady, zwłaszcza, gdy grzywa, ogon, nogi i uszy coraz bardziej czernieją. Gniado-jabłkowity bywa pilny i dobry, mocny, czasami w uporze, przy najeżdżaniu lub w przygodzie do złamania trudny; zawsze jednak między gniadami ceniony i ledwo że nie najlepszy. Gniado-pleśniwy jest do wszystkiego sposobny a

zwłaszcza żołnierzowi bardzo potrzebny, im ciemniejszy tém lepszy. Skaro - gniady bywa wytrwały, silny i rozumny. Maść gniada w powszechności ręką i miarą chodzić lubi. Łagodnością i głaskaniem do prowadzenia lepsza niż ostrością, pamięta długo to czego się nauczy — ztąd krzywdy jęj robić nie trzeba. Z gniadych najweselszy złoty, najłagodniejszy jasno - gniady, skaro - gniady gdy utarty, bezpieczny, jabłkowity nie do zdarcia. Maść to bardzo lubiona, trwała i robocza. Nadzwyczajnych rzeczy nie miéwa albo tylko w jabłkowitéj i w złotéj odmianie, ale wszystko ma czego potrzeba; bo gniady chowa się łatwo, łatwo go dobrać, łatwo najeździć i do wszystkiego użyć można.

Konie maści kasztanowatéj nie stanowiły właściwie dawniej osobnej sierści, ale jedne policzano do gniadych, drugie do cisawych, i tu już wchodziły także konie izabelowate i wszystkie bułane.

W ubarwieniu sierści kasztanowatéj przeważa żółć, ztąd więcej narowu i złości w téj sierści, ztąd są niecierpliwe i niemiłe w wędzidle, niespokojne do siadania, łechczywe w karku, w łytce i w ogonie. Dzielny kasztan potrzebuje bardzo spokojnej ręki, dobrego jeźdźcy w siedzeniu, małego ciężaru zrazu kiedy się bierze do wozu. Potrzebuje zawsze jednej ręki, raz źle użyty lub znarowiony, długiego potrzebuje czasu żeby się poprawił i tylko w dobrém ręku się poprawi. Gniew lub dzielność jeźdźcy lub woźnicy nie udziela się za-

dnemu koniowi tak bardzo jak kasztanowatemu. Kiedy inny od gniewu i chłosty karnieje, to on się gniewem człowieka zapala, hardziej coraz bardziej i szalone robi rzeczy; ztąd tylko swojemu siadać na kasztana, kiedy dzielny i wielkiego rodu, a i ten nigdy znać nie będzie co mu zrobić może.

Jeżeli kasztan jest jabłkowity bywa twardszy, bo nie tyle zły i łechczywy, a zawsze lepszy czém ciemniejszy i w sierści i w jabłkach; podobnie jak rudowacizna w téj sierści, w grzywie i w ogonie lub w pojedynczych dłuższych rudych włosach, przerzucających się po całej skórze kasztanowatéj, należy już do najgorszych znaków w téj maści.

Po kasztanowatéj idzie sierść cisawa. Konie téj maści są w ogólności tego samego przyrodzenia co kasztanowate. Czém czerwiejsza cisowacizna, tém złośliwsza i niepewniejsza; trudne do użycia, bo im się wielkiéj dzielności zachciéwa. Jeśli co dobrego czynią, to tylko z własnej woli i fantazji, niestałe i narowiste, trują się téż prędko; a czego się uczą zapominają rychło. Do biegu bywają skore i biegu żartkiego, ale nie na długą metę. W téj maści bywają takie odmiany: jasno - cisawy mało że nie czerwony, ten ze wszystkich cisawych złośnik największy i prawie nigdy nie pójdzie ręką; bo gdy dzielniejszy, pełen narowu, gdy podlejszy, kaléczeje, zawsze nie - dobry dla jeźdźcy i ludzi co koło niego chodzą. Daléj cisawy o śniadéj grzywie, takimże ogonie i ciemnej

prędze przez krzyż: ten natury dobrej, wytrwały i już pracowitszy, gdy się z jeźdźcem zna. Trzeci bywa ciemno-cisawy, a ku temu z ciemną pręgą przez krzyż i ciemno-jabłkowity. Sierść taka należy już do osobliwości i miéwa wielkie przymioty. Na takim to koniu dowodził król Jan pod Wiedniem — zwał się „Pałasz.”

Czwarty w końcu bywa cisawo - pleśniwy, który tém lepszy czém się więcej białego włosu po cisawej sierści przerzuca: taki koń trwały, dobry i bezpieczny. Jak już samo mówi przysłowie: „Cisawo-pleśniwy, rycerzom szczęśliwy.”

Maść izabelowata rzadka gdy czysta, a w koniu dzielnym wielkiej zalety. Osobne téż stada chowano téj maści, aby ją utrzymać w jednej mierze i czystości.

Konie téj sierści bywają wielkiej duszy użyte pod wierzch, wielkiej wspaniałości kiedy w cugu idą — jeden spoziéra na drugiego i górno się niesie; narów tu nie znany, karać się nie dadzą, pochlebiać im trzeba, bo się znają na sobie. Dzielność w nich zawsze jedna, czy z dziedzińca w bramę, czy z drogi przed ganek, tylko w drodze z niemi biéda, bo powoli jedzą i tylko z wysokiego łobu; koni małych nie cierpią, ztąd, jak napadną gdzie, biją i zagryzą; kucyk przy nich nie może chodzić i strach przy izabelowatym na wyrostka, gdyby na kucu siedział, bo go sięgnie zadem przez drugiego konia, albo nakryje przodem. Izabelowaty

zna się na rzedzie, na szorze i okazji; czém szor i rzed bogatszy, czém większa okazja, tém górniej się niesie; zawsze dopisze gdy trzeba, w największej wrzawie i natłoku spokojny i wspaniały; odważny, ale nie junak; w kalwakacie czy w boju jeden, lubi łakocie, potrzebuje pieśczoty, lubi muzykę i najłatwiej go się ujeździ gdy mu przygrywają, ale rozumnej potrzebuje ręki, a gdy pryskać zacznie, to już źle.

Mniej nawet godne konie w téj sierści mają podobne zalety, ztąd lubią w wojsku wachmistrze a przy stadach stadniczowie jeździć na izabelkach.

Bułana sierść w powszechności ani wielkich wad ani wielkich zalet nie ma; często miękkiego ściérwa, to téż prędko spada i prędko się poprawia w ściérwie.

Bułany dobry do orczyka, gdy ma szerokie czoło, szeroko i równo między uszyna, a jest rozpartego zadu; dobry także na podjezdka, bo ostrożnie koło chartów idzie, zapala się za zwierzem, a czujny gdy na poszczeci i stanowisku stoi; w szeregu zaś karny. Bułany tém gorszy czém jaśniejszy, zwłaszcza jeżeli ma rybnie lub wilczate oko, jeżeli grzywa i ogon jednej maści z felem. Do piękniejszych odmian należą bułanki lśniaco-masłowate, z białemi jak śnieg grzywami i ogonami; te bywają bardzo łagodne, pojętne, wesołe, bez złości i narowu; ztąd téż wsadzano na nie wyrostki i niewiasty, bo jak się chodów i zwrotów wyuczą, i bez wędzidla i bez wprawnej ręki, na emoknienie lub

znak robią wszystko karnie i względnie, choć jeździec temu nie praw.

Więcej jeszcze cenioną odmianą jest bułany o czarnej grzywie i czarnym ogonie, a gdyby do tego przyszły uszka jak u lisa czarno postrzyżone, czarne nogi i chrapy, ciemna pręga przez krzyż i ciemne lub czarne jabłka po zadzie — to już nie mieć go nawet za bułanka, bo dzielniejszych koni w żadnej maści nie bywa; ale bardzo rzadko się zdarza, żeby się te wszystkie dobre znaki w jednym koniu znalazły; częściej że pojedynczo.

Bułano-jabłkowity, jakieby jabłka nie były, bywa zawsze trwały, pracowity, cierpliwy, ale rzadko skory, częściej tępy i małego pojęcia.

Siersć siwa bardzo chwalona w powszechności, jak już samo mówi przysłowie:

„Kto nie miał siwego,
Ten nie miał żadnego.“

Siwy tém lepszy czém ciemniejszy, bo więcej krwi miéwa, a następujące odmiany rozróżniają w tej maści: siwo-jabłkowitą, prese białą, siwo-gorczyczkowatą, mrozowatą, dropiatą, i w końcu szpakowatą.

Siwo-jabłkowity najlepszy, zwłaszcza jeżeli jabłka w czarne lub w niebieskie biją i są foremne a niezbyt wielkie i zad osypują. Konie takie bywają wytrwałe, drożne, robocze i bezpieczne.

Koń prese biały, co z wiekiem nie chwyta tatarki, białej lub różowej skóry i białego rogu bywa — jest spojrzenia dziwnie pięknego, wspaniały i do izabelowatych z natury podobny. Maść to monarsza ale dziwnie delikatna, potrzebuje ciepła i wielkiego starania, podlega chromotom i różnym chorobom; ztąd tylko w najdzielniejszych koniach i w wielkich stajniach poszukiwana, ale dla szlachcica i żołnierza niesposobna, jak już samo mówi przysłowie:

„Biały cały, albo wszystek dobry i chrobry, albo wszystek pies.“

Gdyby zaś biały miał skórę czarną i czarny róg — to nietylko w tej maści nie bywa dzielniejszych koni, ale mało w której; bo takie konie są wytrwałe, z wiekiem przybywa im dzielności; w gorącym harcu, czém dłużej trwa, tém większego nabierają ognia, płatami oblatuje z nich piana i czarna skóra wychodzi na wierzch, tak iż biały poszedł do harcu a sino-żelazny wychodzi z niego. Konie o czarnej skórze wielkiej są dzielności ale bardzo rzadkie.

Siwo-gorczyczkowate konie bywają znowu trojakię odmiany: z czarną gorczyczką i te bywają dobre; z czerwoną gorczyczką mniej piękne i nie tyle cenione, zwłaszcza jeżeli się takowa przerzuca po nozdrzach i chrapach, znamionuje to hardość, niepotrzebną podniosłość i krnąbrność w koniu; ale jeżeli się zdarzy jak gdyby grubym bobem osypany koń z rzadka, gdyby nadto jeszcze miał także znaki

na pęcinach, jak od pęta, toż na kolanach pręgi, a po sobie znaki jak gdyby szramy od cięcia — to już wielki ród znamionuje i w lada koniu się nie znajdzie: choćby był nie bardzo urodziwy, takiego chowaj, bo wszystkie chody zrobi w miejscu i nie tylko na wolnym placu ale w klatce stojąc.

Sierść mrozowata, to jest gdy wrona szersć z białą się nie pomiesza, ale gdy są w czystości obok siebie — dobry to znak, zwłaszcza gdy głowa, uszy, ogon i grzywa są czarne: nazywają takiego murzynkiem. Koń taki nigdy złym nie bywa, ale jest rzadki.

Dropiata maść zdaje się najmniej cenioną w siwój sierści, zwłaszcza jeżeli drop ma żółte, złote lub czerwone oko: taki bywa młdy i słaby, dziki i narowisty. Lepszy gdy ma oko czarne, a najlepszy z dropiatych ten co jest jabłkowity; w powszechności jednakowoż nie mają dropie wielkiej famy.

Szpakowata maść miła na oko ale nie wielkiej cnoty, jak już sama mówi przypowieść:

„Nad siwego w świecie nie ma,
Szpaczek chwyci lecz nie wstrzyma.“

Szpak póki młody, dzielny — ale z laty, w miarę jak bieleje, wołowacieje i nikiemnieje. Lekkorób, wielkiego potrzebuje oka i pilnego starania, a lada czém w niwecz się obraca.

Maść w końcu wrona niewielkich jest zalet, jakoż u nas nie bardzo lubiona: kare konie nie mają

miłości do siebie, a czego człek nie kocha tego i chować nie powinien.

Kary zimny, wołowaty; trwały wprawdzie, ale z tysiąca jeden dzielny i wesoły, chyba żeby miał foremną łysinkę i był białonóżka na wszystkie cztery.

Z karych najlepszy wrony, gorszy myszaty, a najgorszy popielaty, i tém gorszy czém jaśniejszy. Pręga przez grzbiet i ciemniejsze nogi poprawiają trochę rzecz w tych odmianach, zawsze jednakowoż uważany jest myszaty za narowistego a popielaty za mdłego. Myszaty, jeżeli dzielny, nabywa łatwo wady ogona; jeżeli tępy, nie można z niego zdjąć bata.

Ze wszystkich wronych najlepszy ten co kawczęj maści bywa, zwłaszcza jeżeli jest lekko oprószony siwym włosem.

Karego nie mają wprawdzie za nieszczęśliwego konia, a jednak jest wojskowa przypowieść:

„Na wronym nie jedź do boju, a gdy cię zpieszą — nie siadaj na kasztana.“

Tyle tedy o różnych maściach koni według tradycyjnej hippiki. Co się tu o znaczeniu każdej maści w powszechności rzekło, ma się rozumieć o każdej, jeżeli jest bez żadnych innych odmian i znaków; jeżeli zaś przybawają nagłówne, nożne i felowe odmiany i znaki, w sierści i skórze — zmienia to znacznie naturę konia; bo te znaki są, według zdania znawców, wyższego znaczenia i znamionują jeszcze inne rzeczy i własności w koniu obok maści.

Z nagłówkowych znaków idzie naprzód łysina. Łysina podługowata, która brwi znaku nie dotyka a nie kończy się nad nozdrzami, ale wąsko na chrapy przechodzi, dobrze świadczy o koniu; również podobna strzałka, która piórami niby na czoło przypada a grotem ku chrapom, znamionuje rycerskiego konia.

Łysina szeroka, która oczu i brwi sięga, znak to w koniu gnusności ducha i lenistwa ciała, ale zarazem długiego żywota.

Koń białej mordy i taki chrap — znak głupstwa i miękkości: taki bywa niepowodny i prędko szwankuje.

Gwiazdka foremna nie wielka a jasna i srebrnego włosa na czole, jest znakiem dobrej natury w koniu wielkiego serca i wielkiej cnoty — zwłaszcza gdy się z taką odmianą dobry znak nożny łączy, to o takim koniu najlepiej sobie wróżyć można, ale w połączeniu ze złemi nożnemi znakami, mało co i jasna gwiazda poprawi.

Gwiazdka i chrapka biała źle znaczy: koń taki miły i łagodny bywa, ale przypadkom podległy.

Famy gwiazdka bez innych odmian jest znakiem wesołości w koniu i czystego dowcipu, a im foremniejsza tém większego.

Do nagłownych jeszcze znaków policzają kość szeroką i płaską między uszema, która oznacza konia spokojnego, trwałego i roboczego. U innych koni bywa kość ostra między uszema a nawet wyraźny guz: konie takie bywają bardzo skore, rączę i żartkiego biegu, do skoków wysmienite i tém więcej sposobne

czem większy guz; ale nie bywają tyle wytrwałe co konie płaskiej kości i szerokich między-uszy.

Przystępując do tłumaczenia nożnych znaków, poczynamy od nazwania każdej nogi.

Przednia prawa noga zwie się „wyskoczną“, bo koń ujeżdżony wyskakuje tą nogą przodem gdy z kopyta ruszy.

Lewa przednia noga zwie się „grzebną“, bo tą nogą wygrzebuje sobie koń w stepach paszę z pod śniegu.

Prawa zadnia noga zwie się „włoczną“, bo około niej ciągnie się włocznia w szeregu czy w stadzie.

Lewa w końcu zadnia zowie się „siadaną“ bo z téj strony wsiada się na konia i od niej przerzuca się nogę. Cały téż lewy poślec konia zwie się „wsiadany“.

„Po siadanej stronie“ leży moc i złość konia, na siadaną stronę bierze koń na kiel — ztąd téż wsiadając na konia od lewej strony i wążąc się w strzemieniu, ma go się do razu w mocy; nazywają także lewy poślec konia „wytocznym“, bo po téj stronie bywa wytok upięty; a prawy nazywają „odwłocznym“ bo po téj stronie nosi i wlecze się włocznia.

Przytaczamy tutaj tych kilka wyrazów, by dać dowód, jak już sam język świadczy tu o rzeczy, o hodośli koni i głębokiem zapatrzeniu się na istotę przedmiotu, kiedy dziś niczego nazwać nie umiemy, chociaż czasem nawet wiemy o co chodzi.

Otóż w nożnych znakach znaczy „biała wyskoczna“ konia spokojnego, powolnego, sposobnego do nauki, ale często podległego przypadkom, bo już z przyrodzenia jest ta noga słabszą od grzebnej, przez ubielenie słabnieje więcej a więcej jeszcze przez najeżdżanie, gdy się siłę konia „na włocznia“ przekłada i podnosi.

Biała grzebna noga małego poważania u znawców, bo przez ubielenie osłabia się koń w najcięższej nodze swojej, na której cwałuje, kiedy jest wolny.

Biała włocznia noga, chociaż się taki koń pokazuje w czynieniu naręczny, uchodzi za hardego, a nadewszystko nieszczęśliwego i takiego nie brać do wielkiej okazji: konia takiego nazwano „odwłoczkiem“ i jest przysłowie wojskowe:

„Siadany uciecze,
Odwłoczek powlecze“.

Jakoż ze wszystkich nożnych znaków w koniu, nie ma tak dobrego jak gdy koń ma białonóżkę siadaną, nie wyżej ubieloną jak po kostkę, bo taki i czystego serca i dobrej a wesołej fantazyi i wielkiego biegu, i więcej zawsze zrobi niż może, a nadewszystko że taki szczęśliwy!

Jeżeli obie przednie białe, odwłocznia i siadana, zwłaszcza gdy na czole gwiazdkę miewa, tém lepszy, byle nie miał nóg przednich białych, a najbardziej prawej.

„Koń w pończoszka ch“ tj. na cztery białonogi, znak to bardzo dobrego umysłu i fantazyi dobrej, ale łatwo szwankuje i chromieje; chyba żeby miał łysinę foremną, wówczas to wielką znamionuje dobroć.

Jeżeli koń ma „wyskoczną i odwłoczną białą“ tedy niebezpieczny i małej ceny; jeżeli ma obie „wytoczne“ białe, mało co lepszy.

Jeżeli na krzyż ma białe nogi, od wyskocznój do siadanój, to już lepszy, ale także nie wiele wart, bo się związać lubi.

Jeżeli ma grzebna i odwłoczną białą, nieszczęśliwy i niebezpieczny, szwank z takiego konia pewny: jeżeli w końcu obie wytoczne białe, nie lepszy i ścigać się lubi; zawsze jednak na krzyż, aniżeli pościem, białe nogi lepsze. W każdym razie białość nie ma przechodzić nad pięciny, im wyżej białość sięga tém gorzej, im niżej tém lepiej, a dobroć lub złość według nogi — zawsze jednakowoż poprawia foremna łysina lub gwiazdka cnotę w koniu, albo białonóżka siadana.

Zdarza się że dłuższy włos pokrywa odmiany a krótszy całego konia — i to już zły znak, bo odmiany wszelkie mają być krótszą i lśniącą się sierścią pokryte, krótszą niż cały koń, w przeciwnym razie, oznacza to w koniu ród podły.

Co o sierści, toż samo znaczy się o rogu. Jeżeli róg u białonogich biały, zawsze źle i o tyle ubywa im wartości, nawet zresztą przy dobrych znakach nożnych.

Koń bez żadnej odmiany jednostajnej jest natury: pracowity i do nauki sposobny, ale bez fantazji a często hardy i uporny.

Koń oczu jaskrawych, wielkiego białka, albo gdy białe lub siwe miéwa w oku miasto czarnego, krom tego że szpetny, miéwa kurzą ślepotę, a na śniegu, zwłaszcza w dzień jasny, mało co albo nic nie widzi.

Po nagłownych i nożnych znakach idą w końcu znaki feldowe, znamionujące w koniu krew dobrą i ród szlachezny. Tu wypada rozróżnić naprzód odwroty czyli piórka orle od wichrów czyli wirów, ale nie od tych wirów które ma każdy koń na czole, na gardzieli, na uszach, na pępku i bokach, ale od tych wirów, które się po innych miejscach znajdują na koniu. W największej cenie miane jest orle piórko czyli odwrót podłużny, a tém wyżej cenione, czém dłuższe i równiejsze, po obu połciach konia równiej długości i w tém samym miejscu. Dobre orle piórko gdy na czole, po obu stronach wzdłuż szyi, dobre jeżeli ich więcej jest, gdy w nieparzystej liczbie, na grzbiecie, w podłe samego rzepia, słowem wszędzie tam, gdzie go koń okiem zajrzeć nie może. Znak to szczęśliwy i wielki!

Mniejszej już ceny wiry i wichry, zawsze jednak dobrze świadczą o koniu i jego rodzie, byle się nie znajdowały blisko serca lub na sercu, ale tam gdzie koń o nich wiedzieć nie może.

Na tych trzech artykułach kończę objaśnienia do Mohorta, ulegając wielu żądaniom. Jeżeli ktoś to miejsce dla rozpraw hippicznych za niestósowne uważać zechce, niechaj rozważyć raczy, że z tego stanowiska odpowiedzieć musiałem, z którego mnie zapytano, uważając każdą nową pracę zawsze za list do starych przyjaciół.



OMYŁKI DRUKU,

w Mohorcie.

Str.	wiersz	jest	popraw
12	8	się	się.
24	ostatni	więcej	więcej.
33	5	Oo	Od.
35	6	konikiem	konikiem.
37	13	pofolgował	pofolgował.
38	21	srodi	srogi.
65	15	się	się.
66	7	najpierwszy	najpierwszy.
74	1	dworkie	dworskie.
74	2	wykwintnie	wykwintne.
81	5 od dołu	sudanna	siadana.
93	2	kon	koń.
120	20	przyjaźń	przyjaźń.
121	6	sęsiad	sąsiad.
150	3	ostatnie	ostatnia.
165	20	porzednika	poprzednika.
168	12	lśniace	lśniące.
168	ostatni	szabaturah	szabaturach.
177	12	urokiem	urokiem.
181	9	chiała	chciała.
195	14	kolumny	komendy.
214	14	Amantino	Andantino.
222	2 od dołu	doniczego	do niczego.
223	11 " "	pwzracać	powracać.
224	1	hodnją	hodują.
225	2	piękych	pięknych.
226	15	uż	już.
231	ostatni	doświadczeniu	doświadczeniu.
232	20	powimy	powiemy.
234	13	najeździć	najeździć.

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0488847